

Dialog — albo umiejętność stawiania pytań

LUCIUSZ WŁODKOWSKI

„Dialog pozostanie jednak bezowocny lub tylko formalny — napisał József Lukacs w artykule zatytułowanym „O zasadach dialogu” opublikowanym w węgierskim miesięczniku „Vilagosag” — jeśli strony zadowolą się jedynie rejestracją celów, jakie stawia przed nimi praktyka polityczna. Strony powinny w trakcie dyskusji ustalić, jakie drogi prowadzą do osiągnięcia etapu wspólnego działania, zakładając, że każda z nich będzie się kierować odmiennymi motywacjami ideowymi. Dlatego też wydaje się, że dyskusja nie może być prawdziwie owocna, jeśli będzie prowadzona wyłącznie na płaszczyźnie teoretycznej lub wyłącznie politycznej (...). Nie jest też obojętne, według jakiej „etykiety” będzie się toczył sam dialog: strony powinny wystrzegać się postaw dydaktycznych i deklaratywnych, muszą być otwarte na rzeczową analizę stanowiska drugiej strony i muszą umieć uczyć się w trakcie dyskusji”.

Tę myśl Józsefa Lukacsa przypomniałem sobie, kiedy wieczorem 6 października 1982 roku przysłuchiwałem się wypowiedziom działaczy Stowarzyszenia „Pax” na spotkaniu z członkiem Biura Politycznego KC, I sekretarzem KŁ PZPR — Tadeuszem Czechowiczem. Przypomniałem ją sobie dlatego, że József Lukacs pisze o dialogu marksistów z katolikami w Węgierskiej Republice Ludowej, ale dlatego, że formułuje pewne ogólniejsze zasady dialogu prowadzonego z różnych pozycji ideologicznych i światopoglądowych. Przypomniałem ją sobie również i dlatego, że ktoś zapytał: jak rozmawiać ze społeczeństwem?

Chciałbym się przede wszystkim zastrzec, że nie piszę sprawozdania z tego spotkania i to nie dlatego, że minęło już od niego sporo czasu. Nie piszę sprawozdania przede wszystkim dlatego, że mówiono tam o bardzo różnych sprawach, od potrzeby powołania muzeum technik barwarskich, ochrony zabytków minionej kultury robotniczej, a także ochrony miejsc pamięci narodowej jakimi bez wątpienia są cmentarze, nawiązywania we współczesnej architekturze do regionalnych tradycji architektonicznych, do konieczności zrzeszenia się i wzajemnej pomocy ludzi opiekujących się dziećmi niepełnosprawnymi. Obok tego mówiono o sprawach istotnych dla prowadzonego dialogu. Bogactwo tematów i problemów — jak z tego widać — było znaczne. Dlatego pozwoliłem sobie wybrać z nich tylko niektóre, te, które mnie szczególnie zainteresowały, a które jednocześnie stały się inspiracją do pewnych ogólniejszych rozważań.

1. Istota konfliktu. Padło takie stwierdzenie: „istnieje konflikt między władzą a społeczeństwem”. Jest to stwierdzenie bardzo sugestywne i popularne. Ale, jeśli się zastanowić — rodzi szereg wątpliwości. Przede wszystkim sugeruje, że społeczeństwo jest jednolite, swego rodzaju monolit. A przecież tak nie jest. Społeczeństwo nasze jest bardzo zróżnicowane i to pod wieloma względami: światopoglądowo, politycznie, materialnie. Również stosunek do władzy różnych części i grup społeczeństwa jest bardzo różny: walka, negacja, obojętność, współpraca i pełne poparcie. Również i pojęcie władzy nie jest tak jednoznaczne i jednorodne. Różni ludzie różne treści podkładają pod to pojęcie.

Trudno wszakże byłoby zaprzeczyć, że nasze społeczeństwo nie jest targane sprzecznościami. Oczywiście jest też, że przydało nam być w warunkach kryzysu zaufania i że ten kryzys dotyka również szeroko rozumianą władzę. Narastał on latami i dziś, nawet najbardziej potrzebne, pozytywne i realistyczne poczynania władzy spotykały się z nieufnością i podejrzliwością. Bywa przecież i tak, że ludzie starający się myśleć realnie, widzieć realne uwarunkowania naszej rzeczywistości, nie mogą się wyrzucić pewnego sceptycyzmu i nieufności. Tego kryzysu nie przełamie się najpiękniejszymi i najbardziej siusznymi hasłami, ale konsekwentną ich realizacją. Systematycznym doskonaleniem procesu demokratyzacji naszego życia, przywracaniem podstawowych norm demokracji

3

MÓJ DZIENNIK OKRĘTOWY

2

Afterpik i ulica manekinów

ADAM OCHOCKI

PIĄTY DZIEŃ, WTOREK 21 WRZEŚNIA

Co to jest? Chodził bokiem i bez przerwy porusza ustami?

Polski turysta za granicą. Bokiem, bo nie może oderwać wzroku od wystaw sklepowych, ustami zaś porusza dlatego, że ustawnie przeliceza ceny na polskie złotówki.

Mnie zafrapowały bajecznie kolorowe dywany. Mnóstwo ich we wszystkich sklepach portowej dzielnicy Rotterdamu.

— Weins? — pytam właściciela sklepu, jak się okazuje, Żyda z Polski.

— Kto to dzisiaj kładzie na podłogę wełniane dywany? Syntetyczne są o wiele praktyczniejsze. Ważą trzy razy mniej, doskonale się piorą domowym sposobem, no i ta cena! Który pan życzy?

Wybieram wzorzysty kobieriec pod kolor mych tapet i mebli. Pakunek mimo wszystko ma swoją wagę i objętość.

— Może odprawi pan dywan pocztą do Łodzi?

— Paczka? Ja zawsze dużo paczek wysyłałem, ale ostatnio okradają u was transporty. Miałem reklamacje i kłopoty. Pieniądze w końcu zwracają, tylko wie pan jak to długo trwa? Póki się to nie zmieni, nie będziemy przyjmować zamówień na wysyłanie paczek.

Ladne świadectwo wystawił mi sobie za granicą! Dalszą wędrowkę unieśliśmy

rzęsiły deszcz. Parasolka została na statku, kupuję zapasową. Nie mogę jej utrzymać w ręku. Porywisty wiatr chce mnie unieść w przestworza. W drodze na statek zmokliśmy do suchej nitki.

Korzystam z okazji, że nasz kapitan ma wolny czas i wyciągam swe notatki, a jego na rozmowę.

— Panie kapitanie, dlaczego nie wprowadza się polskich nazw do nomenklatury okrętowej? Ciągle słyszę o jakich afterpikach, forpikach... Nawet niektóre komendy brzmią ni to po angielsku, ni to po niemiecku.

— Można się w nich doszukać słów jeszcze innego pochodzenia, na przykład holenderskiego. To są ogólnie przyjęte skróty, trudno by je zastąpić krótko brzmiącymi odpowiednikami polskimi. Na przykład: afterpik. Jedno słowo, a oznacza zbiornik na rufie służący do przewożenia wody do celów sanitarnych. Forpik — zbiornik balastowy na dziobie statku. Marszspikeł — metalowy pret zastrzony na końcu, robi się nim sploty w linach stalowych...

— Czy nie podejmowano prób spolszczenia tych nazw?

— Owszem. A wie pan co z tego wyszło? Ktoś pokusił się o nadanie polskiej nazwy słowu „fregata”. I co wymyślił? Niech pan posłucha: trójprniakowy wiatrotłap z dyszlēm. Ładne?

— Wiem kto był autorem tej nazwy. Na pewno ten sam, co poczwiał lampę o-

16

- ☆ Czy bioemanacja rzeczywiście leczy?
- ☆ J. Wrońska: Nienapiętnowani przestępcy
- ☆ Polemiczny dwugłos o „Kaczucha show”
- ☆ Namibia — „Plomień na sawannach”

Łódź

tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 30 (1283) ROK XXV

29 PAŹDZIERNIKA 1982 ROKU

20 ZŁ



Foto: M. Zajdler

Zaduszki

HENRYK HARTENBERG

Chciałem ci powiedzieć że białe masz czoło
A tu już listopad bezlistne drzewa zwielokrotniają ciszę
I odchodzą w półmrok wessane przestrzenia
A nad miastem plonie żółta poświata
Zaloba matek

Chciałem ci powiedzieć że białe masz dłonie
Ale przy leśnych ścieżkach przy polnych drogach
Pod murami domów tyle jest mogił
I świeżych kwiatów (tak dużo kwiatów)
I palą się lampki oliwne — świetliki wśród nocy

Chciałem ci powiedzieć że białe masz ramiona
Ale na ziemiach wciąż giną ludzie
A na korzeniach krew i na liściach krew i na wierzbie krew
I tych którzy nie zaznali życia jest tak wielu
A cmentarz śwista rośnie i horyzont w kirze

Chciałem ci powiedzieć że plowe masz włosy
A tutaj dwie brzeziny i już krzyż powstaje
Na nich żołnierska czapka schylona głęboko
Wstuchana w ziemię aż do teź aż do teź
A w chmurach dymu toczą się wody wyschniętej rzeki

Chciałem ci powiedzieć że białe dziś niebo
Ale matki płaczą synów
Którzy ze stygmatem bólu na czole
Wyszli na płonące drogi Ojczyzny
I już nigdy nie wrócili

Chciałem ci powiedzieć że bywają sny białe
Ale ciężar kroków uciech i rozsypał się
W kamiennej ciemności pozostał tylko bunt
Przeciwko śmierci i słowa głoszące chwałę
Ponad czas

Chciałem ci powiedzieć że drzewom pusto
Od żółtej poświaty że las przewiany wiatrem
Zastygł w oczekiwaniu
A ja noszę w sobie tamte noce
Wyluskane z milczących godzin

Posłuchaj
Już z oczu cienie spływają
Już światło ogromnieje na twarzy
A na gałęzi osiadył ptak mądrości i trwania
Ale ja wciąż powracam w historię żywych i umarłych
W historii Niepodległych
W Czerwień i Biel

W tamten listopad który we mnie
Koiłose

Przegląd prasy

Niepisany obyczaj każe w przeglądzie prasy uwzględnić przede wszystkim periodyki, droższe i nie rozkupywane tak masowo jak prasa codzienna. Mimo wszystko warto chyba przytoczyć przynajmniej fragmenty sobotniego komentarza „Trybuny Ludu”.

AUTENTYCZNY REPREZENTANT

poświęconego wciąż żywo dyskutowanej ustawie o związkach zawodowych.

„Uznaje się za celowe powołanie nowych, samorządnych związków zawodowych, które byłyby autentycznym reprezentantem klasy robotniczej”. Zdaniem do zapisano zostało w punkcie pierwszym porozumienia gdańskiego. Autentyczny reprezentant — to znaczy jaki? Chociaż intuicyjnie wyczuwamy intencje owego sierpienowego postulat, to jednak warto, jak się wydaje, poświęcić mu nieco uwagi.

Autentyczny reprezentant to człowiek lub grupa wyłoniona z własnej społeczności, z niej wyrosła. Powinien to być człowiek sprawdzony we wspólnej pracy i w trudnych warunkach życiowych, na którym można polegać. Wyrasta się w tym nieufność do ludzi mianowanych oddębnie, „przywożonych w te czasy”.

Tym wymogom odpowiadają te przepisy ustawy o związkach zawodowych, które podkreślają prawo do samorządnego określenia zasad wyboru zarządów i innych kierowniczych organów związkowych. Można przypuszczać, że związkowcy wykorzystają wzory rozbudowanych demokratycznych ordynacji wyborczych, jakie zdobyły sobie prawo obywatelstwa w ostatnich dwóch latach. Wzory ordynacji opartych o bardzo gęste siła uczciwości, prawości, odwagi”.

Wprawdzie — dodajmy to już od siebie — podobnie demokratyczne wybory potrafią niekiedy trwać piekielnie długo, zwłaszcza gdy przyjęta została zasada tzw. „kwalifikowanej większości”, a przy tym liczba kandydatów dochodzi do rozstrzelania głosów, nigdy nie jest to jednak czas stracony. Nie tylko bowiem wyborcy uzyskują poczucie, że reprezentować ich będą ludzie godni zaufania, ale i wybrani działają o wiele śmiało, gdy czują autentyczne poparcie zakładowej społeczności.

Gdy związki zawodowe uczestniczą w prasie, radiu i telewizji, próbują zapewne — oczywiście obok SD PRL, które to stowarzyszenie przygotowuje się obecnie do zbliżającego się ogólnopolskiego walnego zgromadzenia — ustosunkować się również do problemu ukrytego pod hasłem.

WERYFIKACJA DZIENNIKARZY

wokół której toczy się ostatnio żywa polemika prasowa, i środowiskowa również.

Zaczął się od felietonu Pasenta „Niewidomy w Ghazie”, opublikowanego na łamach „Polityki”, na który w „Tu i Teraz” z 6 października odpowiedział Jerzy Urban tekstem „Dziennikarze”. W najnowszym numerze „Polityki” z Urbanem polemizują z kolei onże Daniel Pasent („Niewidomy w „Tu i Teraz”) oraz Jacek Syski („Sprawdził w Sodomie?”). Oba te teksty — acz bliskotliwie — zakładają wszelako znajomość wcześniejszego przebiegu dyskusji, przeto pewne przynajmniej fragmenty artykułu Urbana spróbujmy przypomnieć.

„W pełni uitożsamiając się z założeniami weryfikacji — pisze Urban — i uznając jej przebieg za właściwy, byłem i jestem zdania, że jej polityczne założenia i metodologiczne

zasady winny być obszernie, a poważnie uzasadnione i z góry ogłoszone co najmniej całemu zainteresowanemu środowisku. Niestety tak się nie stało, więc operacja owiana była tajemniczością, która mogła zostawić zły posmak”.

Zgodnie z tym, co pisze Pasent, a zarazem wbrew temu, co sugeruje, nie istnieją żadne listy nazwisk, które nie powinny ogłądać światła dziennego. Pasent żądając tego, by oceniać teksty, a nie autorów, strzela kulą w plot. Jednakże zawsze tak było, jest i będzie, że redaktor ma niezwykłe prawo drukować lub nie drukować danego autora. Nikt więc nie zagwarantuje Bratkowskiemu, że Wiesław Bek wydrukowałby jego szkic o Grabskim, nawet gdyby został on napisany z zupełnej inności, odpowiadających „Trybunie” pozycji ideowych. Redaktorzy określają kierunek pisma nie tylko zawartością artykułów, ale także sygnalizują go doborom współpracowników. Sam Pasent jako redaktor „Polityki” wielu nazwisk nigdy nie chciał i nie chce widzieć na swych łamach, cokolwiek ich właściciele napisali. Mówią o prawach redaktora nie stosując więc żadnych wykreśłów. Po prostu: ani redakcja ani kontrola prasy nie otrzymały żadnej listy nazwisk zakazanych, tak jak to było za czasów Starzewicza czy Łukaszewicza.

Weryfikacja dotyczyła więc tylko pracy etatowej w redakcjach i miała charakter samoweryfikacji, ponieważ podstawa decyzji komisji było samo określenie się dziennikarzy. Jego płaszczyznę generalną stanowiła treść przemówienia generała Wojciecha Jaruzelskiego wygłoszonego 13 grudnia. Polityczny charakter publikacji dziennikarza przed 13 grudnia traktowano z reguły jako kryterium pomocnicze.

Większość dziennikarzy, którzy po weryfikacji zmienili swój status, sama odeszła z redakcji, czy też z zawodu, uczciwie uznając, że teraz nie będzie im odpowiadał kierunek polityczny redakcji, gdzie zasiadali. Jedni ogłoszali to komisji weryfikacyjnej, inni wcale przed nią nie chcieli stawać. Jeszcze inni powiadali zaś, że pragną dalej pracować tam, gdzie przedtem, lecz linii WRON nie aprobują. Wówczas ich nie zweryfikowano, ale tylko formalnie, bo w rzeczywistości oni sami podejmowali decyzję. Większość odsuniętych odsunęła się sama.

„Znikoma mniejszość odeszła, mimo że chciała zostać. Ci którzy zostali jeszcze z komisji odwoławczej, która w większości przypadków wydawała werdykty wypychające odwołującym się.”

W wyniku weryfikacji kilkanaście procent ogółu dziennikarzy zmieniło stanowisko w swojej redakcji albo redakcję lub w wypadkach skrajnych wyprzonych zostało w ogóle z pracy w dziennikarstwie, co zresztą nie wszyscy pracodawcy respektują. Uważam, że powinno się opublikować ściśle dane o przebiegu i rezultatach weryfikacji”.

Cytat był długi, ale się opłacił, dość wiernie przedstawia bowiem przebieg weryfikacji, oraz sygnalizuje popełnione — zwłaszcza w fazie wstępnej — błędy, ową tajemniczość oraz brak znanych choćby samemu środowisku jasnych kryteriów. Zainteresowanych dalszą dyskusją odsyłam natomiast do referatu „Polityki”, tej z 23 bm., a więc jeszcze w kioskach i czytelnikach osiągalnej.

Wypada też wreszcie odnotować.

POWRÓT „TEATRU”

przekształconego w miesięcznik i — szczerze powiedziawszy — niezbyt interesującego, przynajmniej jeżeli chodzi o numery wrześniowy i październikowy.

W numerze październikowym — poza okładkami — wręcz koszmarnie wykonane zostały klisze, stanowiące przecież formę teatralnej dokumentacji, a więc coś znacznie ważniejszego, niż zwykła ilustracja w periodyku czy gazecie. W numerze wcześniejszym, wrześniowym, pewne zdziwienie budzi natomiast artykuł Pawła Konica „Notatki łódzkie”, w którym autor z równą swobodą relacjonuje przedstawienia obejrzone, jak i znane zaledwie ze słyszenia... Nie wypominalbym oczywiście tej starawej publikacji, gdyby recenzent nie dotknął w niej sprawy, która za pewne wkrótce trafi i na nasze łamy. Cytuję:

„Czy zmartwychwstanie?” — pytała przed blisko rokiem Zofia Sieradzka, pisząc obszernie

na łamach „Teatru” o trudnej sytuacji Teatru im. Tuwima. Autorkę artykułu słusznie dziwiła niekonsekwencja prezydenta miasta, który — przypominając — „uznając i podtrzymując wcześniejsze racje oraz wnioski przemawiające za zlikwidowaniem Teatru im. Tuwima w dotychczasowym kształcie organizacyjnym (...) postanowił jednakże realizację tej decyzji zawiesić na rok”. Niedługo później władze miasta akceptowały nowego dyrektora placówki w osobie Karola Obidniaka, który zaczął urzędowanie od 1 września 1981.

Od cytowanej decyzji upłynął rok już. Karol Obidniak nadal sprawuje swe funkcje. I wydawałoby się, że całą sprawę odłożono ad acta. Rzecz w tym jednak, że „salomonowego” rozstrzygnięcia dokonano przez prezydenta, nikt formalnie nie anulował. Na dobrą sprawę nie wiadomo więc, czy teatrowi nadal grozi rozwiązanie, czy też uznano, że swą roczną działalnością zapracował na istnienie”.

Wiadomo, nie wiadomo, co się jakby zaczęło przejaśniać, lub może odwrotnie: gromadzą się burzowe chmury, z których ponoć piorun ma uderzyć, chociaż słuchy o jakowymś „teatrze impresaryjnym”, lecz na plotkach opierać się nie chce. Faktem jest jednak, że wspomnianą wyżej ubiegłoroczną decyzją prezydenta miasta podejmowana była w atmosferze ogromnego napięcia, przy akompaniamentie licznych oświadczeń, pogróżek, protestów i kontr-protestów. Stąd jej ułomność, teatr bowiem — jak zresztą wiele roślin również — ma cykl przynajmniej dwuletni, a bywa, że i dłużej na owoce przychodzi czekać. Zarazem cała sprawa rozgrywała się publicznie, przeto i finał — jaki by on miał nie być — powinien być przedstawiony pod osąd społeczny, ba, ostateczna decyzja wymaga zasięgnięcia opinii sąsiadujących z Łodzią województw, które przez lata całe z usług Teatru im. Tuwima (wcześniejsze: Teatru Ziemi Łódzkiej) korzystały.

Sieradzkie ma zarzyczyć pewne nadwyżki kartofli, którymi Łódź dokarmiła; Łódź być może ma aktualnie nadwyżki teatrów, ale ma też obowiązki wobec ośrodków kulturowo ślaskich, nie byłbym tedy z przeprofilowaniem teatrów zbyt pochopny, a przede wszystkim nie mierzył wszystkiemu wedle czysto lokalnych potrzeb.

Skoro już o dokarmianiu mowa, proponuję temat nieco atrakcyjniejszy, bo dotyczący żywnościowego rynku, mianowicie chciałbym zaoytować fragmenty opublikowanej na łamach „Przekroju” pełnej temperamentu wypowiedzi ppof. Stanisława Rakusa Suszczewskiego pt.

BRONIE KRYLA

„Amerykanie w br. dopuścili odskorupionego kryła do sprzedaży handlowej (nie miałem decyzji w ręku, należałoby to sprawdzić). Japończycy sprzedają kryła poduszki wraz ze skorupką. Kilka dni temu będąc w Moskwie widziałem przy Placu Czerwonym „bielkawałą pastę”, ser „kural”, masło krylowe i kryła tuskańskie.”

Nam nie oplaca się łąwić kryła, nie się nam nie oplaca łąwić. Myślę, że byłoby to optyczne, gdyby odzyskać wszystko, co jest w krylu, białko, tłuszcz, chitynę, karotenoidy, witaminy itp. Rosjanom się oplaca, bo mają tanią ropę i niskie koszty pracy własnej. Dają kryła na rynek, karmią nim zwierzęta futerkowe, sprzedają Amerykanom do karmienia kalifornijskich łososi. Japończykom też się oplaca. Z wyprawu przywożą prócz kryła glony, glonowogi, to wszystko trafia do różnych przetwórców i jest optyczne.

Największym błędem, jaki został popełniony w temacie kryla, była jego tajemniczość.

Wokół kryła — tajemniczość. Wokół Teatru im. Tuwima — to samo. Wokół weryfikacji dziennikarzy — jak wyżej. Ech, doprawdy, minęło dobrych parę lat od czasu, gdy przozno na bardzo pięknie, aby o paskudnym krylu nie, ale to nic nie pisać, mogliśmy się jednak po drodze czegoś tam nauczyć, choć poszczególnie sprawy są oczywiście całkiem różnej rangi i o różnym zasięgu.

Na zakończenie zaproponujmy więc coś naprawdę tajemniczego. My w tym numerze piszemy o mgr Uchnasie, „Polityka” w cytowanym już numerze z 23 bm. publikuje natomiast reportaż pt.

FENOMEN NARDELLEGO

nic a nic nie bojąc się felietonisty „Odgłosy” Włodzimierza Krzemieńskiego (Cwieka), który w poprzednim numerze wysmiał wszelakich uzdrowicieli i cudownych ozdrowieńców generalnie i totalnie na dwóch chudziutkich stroniczkach.

Z załem pomijając sam reportaż i rozmowę z Nardellem, bo tego stręścić się nie da, zacytujmy za „Polityką” opinie kilku naukowców, które w jakimś stopniu będą korespondować i z naszą dzisiejszą publikacją. Jedni, jak zauważyliśmy, poprą Cwieka, inni — wręcz przeciwnie.

Doc. JÓZEF JUSZKO, Klinika Rehabilitacji Śląskiej AM.

„Zabiegi Nardellego nie mają nic wspólnego z szarlatanerią. Jego biopole ma dużą siłę oddziaływania, co daje zupełnie niespodziewane i szybkie rezultaty. Gdyby nie było wyleczeń, to bym go do kliniki nie sprowadzał. Stawiał też diagnozy, zastanawiające jest, że choć nie były one konkretne, to zawsze potrafił wykryć choroby narząd. Tych rzeczy nie należy bagatelizować. Jeżeli Nardelli pomaga tam, gdzie ja już byłem bezsilny, to mogę być mu tylko wdzięczny. W naszym nie obniża to prestiżu medycyny tradycyjnej. Sam Nardelli jest ciężko chory. Zabiegi mu szkodzi, powiedziałem mu, że podczas któregoś umrze”.

Prof. MIECZYSLAW CHORAŻAK, Instytut Onkologii w Gliwicach.

„Jak mógł „Dziennik Zachodni” napisać, że Nardelli jest konsultantem instytutu, nasza dyrekcja powinna to oficjalnie zdementować. Nie jestem w zabiegach Nardellego zbyt zorientowany, być może ma on wpływ na choroby o podłożu psychosomatycznym, ale na mitosis boską nie na choroby nowotworowe, gdzie następuje zniszczenie tkanki. To tak jakby Nardelli przywracał władzę w wodze, którą uprzednio obciążono. Może on dać choremu poczucie komfortu psychicznego, może zmniejszyć ból, który częściowo jest poczuciem subiektywnym, ale na czas przeżycia czy wręcz wyleczenie wpływu nie ma. Podobny efekt da choremu obcowanie z psychologiem, księdzem czy inną bratnią duszą. To, że środki masowego przekazu zaangażowały się w tę sprawę, dowodzi niedojrzałości niektórych kręgów naszego społeczeństwa — tylko u nas może pojawić się jakiś cudowny Anglik czy Polak”.

Dr STANISŁAW GRABIEC, biochemik z Instytutu Parazytologii PAN.

„Jego zdolności wymagają zbadania. Wiadomo, że występuje oddziaływanie fotone wewnątrz komórek, może i między organami, ale nie przypuszczam, by były oddziaływania międzyjosiobne. Być może mamy do czynienia z innymi energiami, ale o tym za wcześnie mówić. Nardellem powinno się zająć Centrum Medycyny Doświadczalnej PAN. Rzeczy znane są domeną rzemieślników, akademie powinny przede wszystkim badać nowe. Trzeba sprawdzić, co się dzieje w mózgu Nardellego i w mózgu chorego podczas zabiegu, czy zmienia się pole elektrostygmatyczne wokół niego. Gdy był Klimuszek, to zbierali się nawet różne profesorskie grona, bity brawo, ale potem nic z tego nie wynikło, aż Klimuszek zmarł”.

Prof. JULIAN ALEKSANDROWICZ, Akademia Medyczna w Krakowie.

„O Nardellem ustyszałem dopiero od pana. Tego, co on mówi i robi, nie można odrzucać, chyba że się udowodni, iż jest to nie niewarte. Uważam, że medycynie trzeba dopomóc. Dlatego dopiero opinia publiczna ma wymuszać na nas nowe badania? Z drugiej strony medycynie trzeba też uwalniać od różnych szarlatanów. Ja jestem otwarty na każdą innowację, którą można dopomóc choremu człowiekowi i jeżeli Nardelli podtrzyma chęć przeprowadzenia nad nim badań, to służę pomocą”.

I bądź tu teraz, człowieku, mądry, skoro ludzie z profesorskimi tytułami wypowiadają opinie niemal przeciwnawne!

J. PANASEWICZ

POKÓJ — SPRAWA NAJWAŻNIEJSZA

W Moskwie obradował Komitet Ministrów Spraw Zagranicznych Państw — Stron Układu Warszawskiego. Delegacji polskiej przewodniczył minister spraw zagranicznych — Stefan Olszowski. Ministrowie stwierdzili, że „sytuacja międzynarodowa skomplikowała się w wyniku działań kół imperialistycznych, a przede wszystkim imperializmu amerykańskiego”. Wyrażono też zaniepokojenie z powodu narastania konfliktów zbrojnych, co wznaga zagrożenie dla światowego pokoju. Mówiono też o tym, że „sily na Zachodzie wzmagają politykę konfrontacji” w Europie. Dlatego też zwrócono się w końcowym komunikacie do państw NATO „o zrezygnowanie z planów rozmieszczenia w Europie zachodniej nowych rakiet amerykańskich”. Podkreślono przy tym, że ZSRR dąży do zawarcia takiego porozumienia, które prowadziłoby do radykalnej redukcji i efektywnego ograniczenia w Europie zbrojeń jądrowych. Wyrażono poparcie dla propozycji Rumunii w sprawie zwolnienia w Bukareszcie następnego spotkania przedstawicieli państw KBWE. Ustalono, że następne spotkanie Komitetu Ministrów Spraw Zagranicznych Państw — Stron Układu Warszawskiego odbędzie się w Pradze.

W Warszawie natomiast toczyły się obrady Rady Wojskowej Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego. Przewodniczył im naczelny dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych UW, marszałek Związku Radzieckiego — Wiktor Kulikow. Uczestników obrad Rady Wojskowej Zjednoczonych Sił Zbrojnych UW przyjął I sekretarz KC PZPR, premier rządu PRL, przewodniczący WRON — gen. armii Wojciech Jaruzelski.

CO JUŻ ZROBIONO!

Wydział Ekonomiczny KC PZPR opracował, a „Trybuna Ludu” opublikowała informację o realizacji zadań, jakie przed partią postawiło VIII Plenum KC PZPR. Przede wszystkim zwrócono uwagę, że w sierpniu 1982 roku po raz pierwszy od 25 miesięcy nastąpił niewielki, bo o 1 proc. wzrost produkcji. Teraz — według danych z września 1982 roku — można mówić o utrwalaniu się tej tendencji. We wrześniu bowiem w porównaniu do września 1981 roku nastąpił wzrost produkcji o 4 proc. Obserwuje się też wzrost wydajności pracy.

Nie kwestionując rezultatów wprowadzanej w życie reformy, trzeba jednak zwrócić uwagę na ujemne zjawisko, z jakim spotykamy się coraz częściej, a mianowicie złą jakością towarów oferowanych przez producentów przedsiębiorstwom handlowym, a poprzez nie także klientom. Przy pustych półkach, kiedy klienti mają pieniądze — ale czy wszyscy? — jak to wydaje się niektórym producentom, klient kupi wszystko. Teraz bez wątplenia tak, ale wraz z działaniem mechanizmów, jakie niesie z sobą reforma, klient może nabrać innego przekonania, a producenci przyzwyczajali się do lekceważenia klienta. Już dziś trzeba widzieć i takie niebezpieczeństwo.

Informacja Wydziału Ekonomicznego KC PZPR podkreśla inspiratorską rolę organizacji partyjnych we wprowadzaniu w życie założeń reformy. Organizacje partyjne udzieliły wsparcia przy wprowadzaniu reformy, prowadzą działalność wyjaśniającą i szkoleniową. Jest to niezbędne. Ale też powinny nie zapominać, że o prawidłowym działaniu reformy będzie też decydowała prawidłowa polityka cen oraz troska o dobrą jakość produktów.

WZORCOWY STATUT

Ukazał się specjalny dodatek do „Trybuny Ludu” zawierający „Wzorcowy Statut Związku Zawodowego”. Będzie on niewątpliwie pomocny przy opracowywaniu statutów przez wiele zakładów, organizacji związkowych. Wzorcowy Statut określa zakres działania związku i kładzie nacisk na „rozwiązywanie powstałych sporów w drodze negocjacji oraz przez zawieranie porozumień”, co wyraźnie określa rolę strajku „jako środka ostatecznego”.

PRZYGOTOWANIA DO ZIMY

Przewidywania są różne. Jedni prorokują, że zima będzie łagodna, inni, że surowa. Przedsiębiorstwa mające dbać o warunki życia w czasie zimy czynią odpowiednie przygotowania. Dziennik Telewizyjny pokazał rzędy aut z pługami do odśnieżania, piaskarki i inny sprzęt, który gdzieś tam już przygotowano. Czy wszędzie i we właściwy sposób? Dla tych, którzy pozostają w tyle, którzy jeszcze nie mogą pochwalić się takimi przygotowaniami jest to okazja do uświadomienia sobie, że kończy się październik i zima może nadejść lada dzień, nie sobie nie robiąc z przepowiedni tych, którzy sądzą, że nadejdzie późno i będzie łagodna.

Tymczasem „Życie Warszawy” donosi, że w stolicy są niedoograne mieszkania, awarie sieci ciepłej i zimnej wody. W tym roku będą też zdarzają się awarie i też bywają niedoograne mieszkania. Póki jeszcze zima nie nadeszła trzeba zrobić wszystko, co tylko jest możliwe, aby awarie nie zdarzały się w czasie mrozów i aby przed nadejściem mrozów zakończyły wszystkie przygotowania do zimy. Może po raz pierwszy od lat zdarzy się wreszcie, że zima nas nie zaskoczy. A przeciwnie — my ją zaskoczymy dobrym przygotowaniem na jej nadejście.

METRO W ŁODZI

Możemy być dumni, gdyż władze miasta podjęły już decyzję o rozpoczęciu budowy metra w Łodzi. W tym roku będą też jeszcze analizy, badania oraz projektowanie prac, a konkretnie prace rozpoczną się od przyszłego roku. Decyzja cieszy, ale też jej podjęcie nie rozwiąże naszych kłopotów z komunikacją. Póki co długo jeszcze będziemy jeździć psującymi się tramwajami, a MPK będzie trudziło się w zdobywaniu brakujących części zamiennych, akumulatorów i opon do autobusów.

Wysoce niepokojącym staje się zjawisko coraz częstszych awarii tramwajów i autobusów, w czasie których poszkodowani zostają pasażerowie.

W PRENUMERACIE — „ODGŁOSY” ZA 15 ZŁOTYCH

Wszystkim Czytelnikom — zwłaszcza spoza Łodzi — ośmielamy się zaproponować prenumeratę „Odgłosów”, co zapewniłoby regularne otrzymywanie naszego pisma po praktycznie niższej cenie, gdyż za 15 złotych.

Od 1 stycznia 1982 kwartalna prenumerata „Odgłosów” kosztuje 195 zł, półroczna — 390 zł, roczna — 780 zł. Wpłaty należy dokonywać w placówkach pocztowych, na specjalnych blankietach, w terminie do 15 listopada, podając — rzecz zrozumiała — swoje dane personalne, dokładny adres z kodem pocztowym, a także tytuł i numer indeksu pisma. W naszym przypadku jest to numer 36762.

socjalistycznej. Nie ludźmy się jednak, że proces ten będzie przebiegał bez zahamowań i przeszkód, że dokona się automatycznie. Potrzeba na to czasu, konsekwencji, uporu i wielkiego wysiłku.

Trzeba przede wszystkim uświadomić sobie cały splot sprzeczności, z jakimi mamy obecnie do czynienia. Podstawowa i zasadnicza — to sprzeczność między siłami wytwórczymi a stosunkami produkcji. Stosunki produkcji nie rozwijały się zgodnie z postępem sił wytwórczych. Ta sprzeczność wyraża się między innymi i w tym, że sposób zarządzania gospodarką, jak i sposób rządzenia nie odpowiada już rodzajem się potrzebom społecznym. Szeroko rozbudowane formalne struktury demokracji socjalistycznej nie spełniały swej roli. Niemożliwa to formuła mówiąca o „jedności moralno-politycznej narodu”, która nie miała pokrycia w rzeczywistości. Skoro zakładano, że istnieje „jedność” i naród akceptuje poczynania przywódcy, to udział społeczeństwa w rządzeniu jest zbędny. Przy takim założeniu można było sobie pozwolić nawet na luksus posiadania „nieškodliwej” opozycji. Dziś wiemy, czym to się skończyło.

Padło też stwierdzenie, że „nie można nie liczyć się z historycznymi uwarunkowaniami, a te pokazują, że przez całe lata starano się wychowywać społeczeństwo w duchu akceptacji tego wszystkiego, co płynie z góry”. Był czas, że hasła płynące z góry odpowiadały społecznym potrzebom i były akceptowane, ale nadszedł też czas, kiedy zaczęły rozmiącać się z rzeczywistością i przestały być akceptowane. Wytworzył się pewien nawyk nieufności i podejrzliwości. Dlatego dziś nawet najbardziej racjonalne i trzeźwe apele są traktowane z podejrzliwością i nie skutkują. Wszyscy na przykład uważają, że reforma systemu zarządzania gospodarką jest niezbędna, gdyż stanowi podstawę wyjścia z kryzysu. Rząd czyni wszystko, aby konsekwentnie wprowadzać reformę gospodarczą w życie. Ale te wysiłki rządu spotykają się z niedowierzaniem i podejrzliwością. Jest to jaskrawy przykład irracjonalizmu, oczekuje się bowiem, że reforma zadziała automatycznie i już jutro

przyniesie nadzwyczajne skutki Tymczasem na skutki reformy trzeba czekać i nie tylko czekać, trzeba bowiem rzetelnej i solidnej pracy, aby przyniosła ona spodziewane rezultaty. I potrzeba świadomości, że wprowadzanie reformy gospodarczej rodzic będzie nieuniknione błędy, które muszą być korygowane.

Jan Szczepański odpowiadał na pytania Jerzego Osieki z „Expressu — Kulis” powiedział między innymi:

„Czy pan wie, ile wynoszą straty gospodarcze zawinione przez ludzi nie wykonujących swej pracy na niezbędnym poziomie jakości? Około 150 miliardów złotych rocznie. Prawdziwy problem, którym należy się zająć, to nie kilkadziesiąt tysięcy ludzi uchylających się od pracy, ale miliony ludzi źle wykonujących swoją pracę”.

Wśród tych ludzi jest wielu, którzy oczekują na cud, na to, że reforma gospodarcza będzie dana im z góry, że ktoś to za nich załatwi, a oni będą tylko korzystali ze skutków. Jest to bez wątpienia „relikt niedawnej przeszłości”. Jest to postawa, która można rozumieć, ale trudno akceptować. Mieści się w tym też sceptyczny stosunek do samorządu pracowniczego. To prawda, że samorząd jest w jakimś stopniu ograniczony stanem wojennym, ale ograniczenia te zostaną kiedyś zniesione, a obecny okres można potraktować — a nawet trzeba — jako czas uczenia się samorządności.

Jeśli chcemy rzadzić się demokratycznie, jeśli chcemy współuczestniczyć w sprawowaniu władzy, to musimy nabrać szacunku do obywatelskich praw rządzących rozwojem społecznym — można nazwać to realizmem — i musimy nauczyć się odpowiedzialności. W tym mieści się też umiejętność przewidywania skutków naszej działalności.

2. Istota dialogu. Pozwólę sobie jeszcze raz zacytować Józsefa Lukácsa:

„... są tacy, którzy sam dialog interpretują jako metodę stopniowego eliminowania różnic poglądów, jako środek ujawniania zbieżności światopoglądów. Inni przeciwnie, dążąc do urzeczywistnienia praktyczno-politycznego współdziałania skłonni są ignorować jego ideowe uwarunkowania — tak jak gdyby poglądy ideowe były obojętne z punktu widzenia praktyki. Tak więc jedni pomniejszają znaczenie konsekwencji praktycznych, inni czynią to samo w odniesieniu do ideowego tła praktyki — i to często mając jak najlepsze

Dialog — albo umiejętność stawiania pytań

intencje. A przecież rzeczywistość nie pozwala pomijać różnic ideowych ani też bagatelizować ich praktycznych następstw”.

Jeśli więc uznaje daleko idące zróżnicowanie społeczeństwa, a trudno zaprzeczać faktom, to sformułowanie pytania: „jak rozmawiać ze społeczeństwem?” wydaje się co najmniej uproszczeniem. Sposób rozmawiania władzy ze społeczeństwem jest bez wątpienia ważny, ale też ograniczenie się tylko do tej jednej strony dialogu wypacza jego sens. Dialog musi się toczyć również w samym społeczeństwie, między poszczególnymi jego grupami. Dialog musi się również toczyć w szeroko rozumianych ogniwach władzy. Nie można bowiem ignorować różnic ideowych, czy światopoglądowych, jakimi się kierują różne grupy społeczeństwa, jak też ugrupowania biorące udział w sprawowaniu władzy. Płaszczyzna tego dialogu została już określona. Jest nią Konstytucja PRL, akceptacja celu współdziałania — budowa socjalistycznego społeczeństwa. Nie wyklucza to różnicy poglądów na sposoby realizacji tego celu, na sposoby rozwiązywania poszczególnych problemów, jakich nam nie szczędzi życie.

Niektórzy potrzebę dialogu, potrzebę porozumienia rozumieją instytucjonalnie, jako „dogadanie się stron”. Wspomni na się próbe „dogadania się wielkiej trójki”. Ale wiemy, że nic z tego nie wyszło. Trwa natomiast dialog między rządem i Kościołem. Jest on bez wąt-

plenia potrzebny. Trwa też dialog między partią i stronnictwami. Jest on również potrzebny. Rozszerzył się udział stronnictw w sprawowaniu władzy. Jest to przejaw realizmu. Ale jest to dialog toczący się w szeroko rozumianych ogniwach władzy. Musi mu niezbędnie towarzyszyć dialog prowadzony wśród społeczeństwa. Tego społeczeństwa podzielonego, zróżnicowanego, targanego sprzecznościami.

Żeby ten dialog mógł się toczyć i rozwijać trzeba właściwie sformułować pytanie i znaleźć na nie odpowiedź. A więc, czy dialog ten ma być środkiem do osiągnięcia doraźnego celu, do eliminowania różnic poglądów, do likwidacji zróżnicowania i podziałów, czy też ma być to trwałą formą sprzyjającą współuczestnictwu społeczeństwa w sprawowaniu władzy?

Nie można realizować budownictwa socjalistycznego/bez przewódzenia w tym procesie przez partię komunistyczną. Nie można też zapominać, że przewodnią siłą narodu jest klasa robotnicza. Partia musi mieć przede wszystkim na uwadze jej interes, jest bowiem awangardą tej klasy. Ale interes tej klasy nie może być pojmowany jako sprzeczny z interesem narodu, partia zatem nie może odrywać się od swojej klasy i nie może spełniać swojej roli przewodniej nie pozyskując dla swego programu sojuszników. Program partii musi odpowiadać aspiracjom i oczekiwaniom narodu. PZPR sformułowała taki program na IX Nadzwyczajnym Zjeździe. Jego podstawowym założeniem

— odpowiadającym całemu narodowi — jest wyjście z kryzysu. Tylko wrogowie Polski mogą być przeciwni dążeniu do wyjścia z kryzysu. Ale dla wyjścia z kryzysu jest niezbędne skupienie wszystkich sił patriotycznych, porozumienie co do współodpowiedzialności w realizacji tego przedsięwzięcia. Nikt za nas tego nie zrobi i to jest jedna z płaszczyzn dialogu.

Czy po wyjściu z kryzysu zniknie potrzeba dialogu? Nie. Nie zniknie przecież chociażby zróżnicowanie światopoglądowe, nie znikną inne podziały, nie znikną automatycznie trudności, kłopoty i problemy. Nadal będą aktualne różnice poglądów co do sposobów realizacji różnych celów. Nadal trzeba będzie borykać się z biurokracją, która ma nieograniczone zdolności odradzania się. Nadal będą występowały różne formy własności: państwowa, spółdzielcza, prywatna, rodzące sprzeczności interesów między różnymi grupami ludności. Przecież sam moment wyjścia z kryzysu jest umowny i wcale nie oznacza automatycznej likwidacji wszystkich jego skutków. Na przykład choćby w kulturze, wychowaniu, w kondycji biologicznej społeczeństwa. Pracy nam nie zabraknie i to na długie lata. Pozostanie więc nadal potrzeba dialogu, bowiem partia, jeśli będzie chciała należycie spełniać swoją przewodnią rolę, prawidłowo kształtować społeczeństwo socjalistyczne, będzie musiała nadal skupiać sojuszników, pozyskiwać różne grupy społeczne dla realizacji swego programu. Utrzymanie i kontynuowanie dialogu rodzi się zatem nie jako doraźny sposób osiągnięcia konkretnego celu, ale jako stała forma współuczestniczenia w sprawowaniu władzy i ponoszenia współodpowiedzialności za jej skutki.

Dialog oczywiście nie wyklucza — a przeciwnie — zakłada walkę z poglądami przeciwników socjalizmu, którzy chcieliby przy okazji wymiany poglądów lansować swoje koncepcje. Nie zapominajmy bowiem, że żyjemy na świecie, na którym nadal toczy się i to wcale ostra walka ideologiczna, w którym co jakiś czas dochodzi do konfliktów zbrojnych.

3. Istota partnerstwa. Warunkiem powodzenia każdego dialogu, każdego porozumienia jest wzajemne poszanowanie partnerów. W dialogu, w porozumieniu musi brać udział młodzież, ale młodzieży nie można traktować

protekcjonalnie. Trzeba w niej widzieć partnerów. „Co można zaferować młodym?” — padło i takie pytanie. Czy młodym trzeba coś oferować? Czy młodych trzeba „kupować”? Rozumiem, że młode pokolenie musi mieć zagwarantowane minimum warunków dla swego rozwoju. Ale przecież nie można wszystkiego sprowadzać tylko do oczekiwania, że ktoś coś da. Tak, jak swego czasu wiele rozgoryczenia i nieporozumień budziły towary zarezerwowane dla rolników, tak dziś budzą rozdrażnienie towary wystawione na półkach z zastrzeżeniem, że są przeznaczone tylko dla młodych małżeństw. Młodzi zresztą sami chcą, aby ich traktować poważnie, aby im stworzyć warunki do wykazania się swoimi umiejętnościami, zdolnościami i ambicjami. Myślę, że uporządkowanie polityki kadrowej przyczyni się do pewnego postępu i w tej sprawie. Ale też uważam, że wychodzenie z kryzysu, to nie tylko sprawa starszego pokolenia. Młodzi muszą pojąć, że to również ich sprawa, bo to oni przez długie jeszcze lata będą borykali się z rosnącymi skutkami przeżywanego obecnie kryzysu.

Podobnie sprawa wygląda z krytycznymi uwagami pod adresem propagandy. Zle o propagandzie mówi się od lat. Sądzą, że nigdzie nie ma takiej propagandy, która by wszystkich zadowolala. Propaganda musi spełniać określone cele. Ale w części przynajmniej tych krytycznych uwag o propagandzie żąda się partnerskiego stosunku, czyli poszanowania odbiorcy, jego poziomu intelektualnego, jego zainteresowań, żąda się dobrej roboty, precyzyjności i czystości języka. Nie uważam, aby były to żądania wygórowane. I nie twierdzą, że ci, którzy tę propagandę robią nie zdają sobie z tego sprawy.

Jeśli jednak przyjmiemy, że uczestniczymy w procesie istotnych przeobrażeń, które się dokonują, wcale nie lekko, wcale nie bez zahamowań i przeciwności, i że chcemy w nich brać udział, to trzeba z jednej strony poważnie traktować wszelkie uwagi krytyczne, ale z drugiej strony również rozumieć, że nie się nie zmienić z dnia na dzień, automatycznie i że z góry będzie nam dane. Na wszystko potrzeba czasu i pracy.

LUCJUSZ
WŁODKOWSKI

Banalna rozmowa

Wchodziłem na drugie piętro budynku Komitetu na Bałutach, kiedy na schodach zobaczyłem niewysoką postać starszego mężczyzny. Wiosy siwe przereźdzone, ostrzyżone na jeża, starannie wypielęgnowana bródka. Kiedy miałem go już minąć, usłyszałem: — Gdzie jest towarzysze...? — tu padło nazwisko jednego z instruktorów.

— A co, nie ma go? — Nie! — Proszę zaczekać — powiedziałem — zaraz się dowiem, gdzie jest.

Zszedłem do sekretariatu i dowiedziałem się, że poszukiwany instruktor wyszedł. Przekazałem tę informację zainteresowanemu i miałem już wejść do pokoju, gdy mężczyzna zwrócił się do mnie:

— Proszę powiedzieć, że nie będę mógł udzielać się w pracy, ponieważ pogorszeniu uległ mój stan zdrowia. Dostałem zastrzyki i muszę chodzić do przychodni — Wymienił swoje nazwisko. Banalna historia — pomyślałem, a głośno zacząłem zapewniać, że oczywiście przekazałem i jeszcze jakieś zdawkowe słowa, jakie wypowiada się w takich sytuacjach.

Mężczyzna chyba uznał, że mu nie uwierzylem. Wyciągnął z kieszeni skierowanie i ampulki penicyliny, a na dowód stanu zdrowia podciągnął nogawkę spodni. Spód nogawki widać czarna prawie do kolana owinięta bandażem do połowy łydki noga. Bürser — przemknęło mi przez myśl. Parzyłem się nieswoją Stoi przede mną człowiek, który przed obcymi obnaża swoje ciało. W takiej sytuacji zbycie go kilkoma zdawkowymi słowami jest co najmniej nietaktowne.

Przez chwilę stoje skonsternowany. Lówię w myśli słowa, które mogą zabrzmieć przyzwolnie, ale ciągle mi ich brak. Stoję zatem, kiwam głową i słucham usprawiedliwień. Temu oto starszemu, dołknętemu straszliwą chorobą mężczyźnie, jest przykro że nie będzie mógł być przydatny partii tak, jak by chciał. Trzeba wrzeszczeć coś niebanalnego wydusić z siebie.

Mówię więc, że to oczywiście w takim stanie zdrowia nikt nie będzie wymagał od niego aktywności, że jest w pełni usprawiedliwiony, mówię o konieczności trzymania się nadziej na wyzdrowienie, wszak postęp medycyny jest rewelacyjny.

Po rozmowie zająłem się swoimi sprawami. Ale to spotkanie ciągle nie dawało mi spokoju. Dlaczego uważał za konieczne przyść i usprawiedliwić się? Snotkałem go ponownie, kiedy szedł na kolejny zastrzyk. Poprosiłem o rozmowę. Zgodził się chętnie. Usiedliśmy w zacisznym miejscu. Jeszcze zastanawiałem się nad pierwszym pytaniem, kiedy zaczął mówić. Staraliśmy się nie przerywać. Od czasu do czasu, kiedy tracił watek utracałem słowa lub zdanie. Z tego prawie monologu towielem fakty, które wiązały się z pytaniem o motywy jego zaangażowania.

Nazywa się Antoni Gieczeński. Urodził się w 1917 roku. Ma 65 lat. Od 10 lat jest na rencie inwalidzkiej. Ma 1 grupę. Do partii wstąpił w 1945 roku. W 1948 roku, po Kongresie Zjednoczeniowym, dał legitymację do wymiany. W tym też mniej więcej czasie wyje-

chał w Szczecińskie. O powodach wyjazdu powiedział krótko — kłopoty rodzinne. Potem dodał — rozkład małżeństwa. W Szczecińskim miał różne zajęcia.

Uśmiecha się do tych wspomnień. Mówi zdawkowo: o dojeździe krow, o układaniu torów, o polowaniu.

Zapomniał nie tylko o złej żonie, ale i o partii. Po kilku latach wrócił ponownie do Łodzi i przypomniał sobie o legitymacji. Twierdził, że ponownie wstąpił do partii w 1956 roku. W legitymacji ma jednak datę 1960 r. Przyczyny rozbieżności upatruję w biurokratycznym bałaganie. Wyciągając legitymację partyjną mówi:

— Ja noszę legitymację przy sobie. Ja się jej nie wstydzę. Ilu dziś nosi legitymację? — zawiesza głos pytająco.

Pracował w Łódzkich Zakładach Przemysłu Bawełnianego Im. Obronców Pokoju jako modelarz.

— Tam mnie znała — powiada z nutą dumy w głosie. Słuchając go uświadamiam sobie, że był i jest to człowiek o dużej żywołności. Przed wojną uprawiał boks. Był wicemistrzem Łodzi.

— Boksowałem w IKP — opowiada. — Przed wojną startowałem w sztafecie — wymienia nazwiska swoich partnerów. — Zdobyliśmy mistrzostwo klubów robotniczych.

Po powrocie do Łodzi działał w ORMO. Był zastępcą komendanta posterunku.

— Było dużo roboty. Dziś mi się nudzi — mówi z nutką smutku w głosie.

Funkcje partyjne z wyboru przyszło mu pełnić dość późno: I sekretarzem Terenowej Organizacji Partyjnej został wybrany w 1977 r. Obecnie jest II sekretarzem. Dość późno posypały się zaszczyty. W 1978 r. przyznano mu Srebrny Krzyż Zasługi. W tym samym roku Honorową Odznakę m. Łodzi. Otrzymał także Medal za udział w Wojnie Obronnej 1939 r.

— Byłem w służbie czynnej, kiedy wybuchła wojna — mówi. — Służyłem w VI Dywizjonie Przeciwlotniczym we Lwowie. Mieśliśmy świetne działa przeciwlotnicze. Wielu niemieckich lotników przekonało się o tym na własnej skórze. Potem wzięliśmy ucieczkę władz polskich przez Zaleszczyki. Był to straszny okres w moim życiu.

Dalej nie chce opowiadać. Nie nalegam. Chwilę milczymy.

— Ja — mówi — jeszcze dziś, mimo schorowanych nóg, biorę czasami skakanke i poskaczę sobie, tyle jeszcze we mnie życia. Obecnie żona też na rencie. Jest bardziej chora ode mnie. A była większa aktywistka, niż ja.

— „Solidarność” to piękne słowo, to piękna idea — zmienia temat. — Ale co z tym zrobili. Jak słysze słowo „Solidarność” to czuję ogromny żal, ale też wielką nadzieję ludzi pracy politykierzy z KOR i KPN zamienili na amerykańskie dolary.

Zamyśla się chwilę.

— Doszło w końcu — snuje myśl — do anarchii. Historia powtarza się. Życie społeczno-polityczne przed 13 grudnia 1981 r. przypominało niesławne czasy Rzeczypospolitej szlacheckiej, kiedy to każdy szlachetka mógł wstąpić na beczkę i krzyknąć: „veto”, „veto”.

Oburza się na te kraje, które potępiają polski rząd za wysiłki zmierzające do stabilizacji.

— Do takiej Turcji — mówi — czy Salwadoru nikt się nie przycepiła, ale jak u nas rząd chce zaprowadzić porządek, to od razu krzyk o prawach obywatelskich, wolności, demokracji.

Znów zmienia temat. Mówi o niezadowolonych ludzi z jego kręgu, środowiska rencistów i emerytów.

— Żeby nie ten ustrój — mówi z irytacją w głosie — to by jedna z druga... — tu wymienia prawdopodobnie i mniej prawdopodobne plagi, które mogłyby być udziałem starych ludzi, gdyby przy władzy pozostali kapitaliści i obszarnicy.

Oburza się na młodzież.

— Dziś młodzież chciałaby mieć wszystko od razu, bez żadnego wysiłku. Ja jak byłem młody...

Choć nie podzielam jego poglądu o konieczności rozpoczęcia dorobku przez każde pokolenie od przysłowiowej łyżki i widelca, to rozumiem jego gorączkę. Rozumiem też że gdyby w swojej młodości miał na początek to, co dzisiejsza młodzież, czuły się wybrańcami losu. W jego słowach jest także sporo zwykłej, ludzkiej zazdrości i żalu, że młodość upłynęła w zupełnej inercji, gładnych i bosych czasach.

Wieczorami nie może długo zasnąć, nogi dają znać o sobie. Wtedy przychodzą mu do głowy myśli, które układa w rymy. Powstają z tego wierszowane opowiadki. Pokazał mi kilka takich prób. W formie literackiej zamknął swoje emocje, wrażenia i skojarzenia na różne tematy. W ostatnim „kresie” reszta tych utworów są jego refleksje polityczne. Na przykład utwór „Wystąpienie „Bajeczka” zaczyna się od słów: „Opowiem Reaganowi, bajeczkę...” Napisał też utwór, w którym wyraża swoje sądy o doradcach Edwarda Gierka. Ma świadomość, że nagrody Nobla za wierszyki nie otrzyma.

— Układa mi się to jakoś samo w głowie, a potem zmusza do przelania na papier — powie, jakby się usprawiedliwiał.

Na koniec refleksja o potrzebie walki o ideały socjalizmu, o odwadze i hartie ducha.

— Musimy walczyć! Zwycięzimy, bo po naszej stronie jest racja. Nie ma co się bać Komunistom groziły nie raz i nie dwa, że ich powieśzą. Niejeden też zginął. Prawda, o człowieka trzeba dbać. Nie wolno go niepotrzebnie narażać, bo jak mówili w czasie wojny Churchill: „Na człowieka czeka się 20 lat...” Lecz gdy przyjdzie konieczność, to trzeba mieć świadomość, że dłużej niż do śmierci nie pożyje się.

— Ja — dodaje po chwili — gdyby mnie partia wezwała, to choć nie mogę chodzić na te moje nogi, przystąpiłbym się na brzusku!

Rozmowa zaczyna się rwać. Wątki powtarzają się, ale już nie wnoszą nic nowego. Czas więc kończyć spotkanie. Przestają na tym, co usłyszałem.

Czy mogę odpowiedzieć sobie na pytanie, które mnie nurtowało? Dlaczego przyszedł usprawiedliwić się? Czy był ideowcem „od urodzenia” — jak to się czasem ironicznie mówi o niektórych „zasłużonych działaczach”?

Choroba nie zalała go, przeciwnie — pobudziła do działania. Na okres choroby przypada bowiem jego aktywność polityczna. Jest przykładem człowieka walczącego z chorobą, a mimo to ciałem poprzez obecność w życiu społecznym. Choć jestem przekonany, że gdybym głębiej poszukał, znalazłbym szereg innych motywów. Zapewne bardziej prozaicznych. Jak u ludzi.

Gdy go pożegnałem, pomyślałem — banalna rozmowa. Czy rzeczywiście?

ANTONI GIECZEWSKI

Nasz czas przeszły

Staraniem Towarzystwa Przyjaciół Łodzi, przy współudziale Łódzkiego Domu Kultury przygotowano „Śpiewnik łódzki”. Wstęp napisał przewodniczący TPE, Mieczysław Woźniakowski. Teksty piosenek zebrali i opracowali: niezjący już Eugeniusz Ajnenkiel, Joanna Ludwicka, Mieczysława Jedrycha, Tadeusz Szewera. „Śpiewnik łódzki” ukazuje się z okazji obchodzonej obecnie 100 rocznicy powstania polskiego ruchu robotniczego.

Na początku 20 stulecia u progu I Wojny Światowej żyje w Łodzi 800 tysięcy mieszkańców. Są to chłopcy, Najędźniejsi, bezrolni, ciemni. Ściągają tu, do Łodzi-Miasta z sieradzkiego, łęczyskiego, piotrkowskiego głównie, ale i z dalszych stron również.

Zamieniają swoją wsiową nędzę na... nędzę miastową. Zrazu nie orientują się, że i tu będą obiektem bezlitosnej eksploatacji. Otrzymują najniższe stawki w Europie za 12-14-godzinną pracę, a za 50 proc. tej stawki będą pracować ich żony, a za jeszcze niższą — również dzieci. A przecież ten polski bandos, ledwie wegetujący w straszliwej biedzie, w nieprawdopodobnie anty-sanitarnych warunkach, tu, na łódzkiej bruku, przeobraża się już w pierwszy pokolenie w świadomości społeczeństwa i narodo — proletariatu. Szybko uczy się umiejętności organizacyjnych, strategii i taktyki walki.

Robotnicza pieśń

MIECZYŚLAW WOŹNIAKOWSKI

Te przeobrażenia, ten proces przeobrażenia proletariatu łódzkiego znajdują swoje odbicie również w zamieszczonych w „Śpiewniku” pieśniach. Zrazu będą to biagalne czy lamentujące teksty i melodie wzorowane czy wręcz przechwytywane z pieśni kościelnych. W nich bowiem zawiera się lament i groza w obliczu wszelkiego nieszczęścia, jakie się na człowieka zewsząd wali.

Ta tonacja mistycycko-religijna wkrótce ustąpi miejsca tonacji bojowej, walczącej, kulturowi bohaterstwa, odwagi i nieustępliwości, pogardy i nienawiści do cara i jego pacholców, do fabrykantów-kapitałistów i ich slugusów, do różnego autoramentu szpicli i prowokatorów. W tych piosenkach, których najwięcej, początkowo odnaleźć można jeszcze echa 1863 roku.

Paleta barw piosenek robotniczych jest bardzo bogata. W niektórych słyszy się gorzcy w obliczu obojętności dużej części społeczeństwa wobec walki i poświęcenia najlepszych dzieci proletariatu.

Oddają głos dwudziestokilkuletniej robotnicy — bojownicze Zofii Błaszczykównie:

„I kto otworzy oczy tym, co drzemają
I tym, co patrzą biernie, kiedy życie
Nowe się rodzi i bunt wrę pod ziemią.
I kto kłam zada temu, co głosicie?”

„Czyż można milczeć, gdyście wy na fal
Złożyli urny i śpicie spokojnie,
Zeście popioły po dnie pochowali
A fala urny oddała powolnie?”

Są również piosenki będące potwierdzeniem rozbicia w ruchu robotniczym na zwolenników PPS i PSS — Frakcji Rewolucyjnej, SDKPiL, NZR, Chładcę.

Pamiętam z wczesnego dzieciństwa taki sparodiowany Hymn Sokolów, jaki u nas, na Chojnach śpiewano.

Oto jego refren:

„Hej, bracia-sokoły
Pracujcie jak woły,
Pracujcie jak byki
Z Gajera fabryki!”

Istniały również piosenki, w których porównują echa antysemitki wystąpień pogromowych, które z podżuczenia władz carskich miały kanalizować, a w efekcie i kończyć walkę świadomego proletariatu czy to w czasach Buntu Łódzkiego czy Rewolucji 1905—7 roku.

Dla mnie osobiście niezapomniane zetknięcie w okresie 20-lecia międzywojennego z pieśniami robotniczymi wiąże się ze wspomnieniami pochodów 1-majowych z Wodnego Rynku (ob. Plac Zwycięstwa) na Polecie Konstantynowskie, na Miejsce Straczeń z lat 1905—7. Najchętniej i najczęściej śpiewano „Czerwony Sztandar”, „Na barykady”, „Warszawiankę” Święckiego i „Mazura Kajdaniarskiego” Waryńskiego.

Z najsilniejszym przeżyciem wiąże się pogrzeb niezanego mi komunisty na Chojnach. Było to w latach trzydziestych. Kondukt pogrzebowy, w którym uczestniczyli nieprzebrane masy ludzi, wyszedł gdzieś od ulicy Nowo-Pabłankiej (ob. Sanockiej) i szedł ulicą Rzgowską ku cmentarzowi św. Franciszka za

torem kolejowym. Wtedy pierwszy raz usłyszałem „Miedzynarodówkę”. Partia komunistyczna była już zdelegalizowana, a śpiewanie „Miedzynarodówki” zabronione.

Ulicą Rzgowską, całą jej szerokością, a więc jezdnią i obydwoa chodnikami na długości półtora kilometra sunął w ciżbie wielkiej tłum ludzi ubogich: młodzi i starsi wiekiem, mężczyźni i kobiety. Pieśń rwała się, wybuchając tu, to, gdzie indziej, gdy w jednym miejscu ucichła, podejmowano ją nieco dalej, jakby ją przesyłano z ust do ust, z jednej gromady do innej. Śpiewano ją w uniesieniu, w jej takt gdzieś w przodzie pochodu kołysała się trumna nieszczęśliwych, zmieniających się co chwilę towarzyszy. Ulicę wypełniała ogromna masa ludzka i ta postrzępiona pieśń. Wszelki ruch ustał, zamykano w pośpiechu sklepy...

„Śpiewnik” ukazuje się w setną rocznicę początków ruchu robotniczego. W związku z tą rocznicą nasuwa się następująca refleksja: jest to chyba skutkiem naszej oficjalnej propagandy, a i szkół pewnie również, że takie pojęcia jak właśnie „ruch robotniczy”, „walka klasowa”, „działania rewolucyjne” zostały jakoś odhumanizowane, szeszcza papierowymi wstępnymi naszymi gazet, mają smak telewizyjno-radiowej, mdłej papki.

Kiedy, stary nauczyciel, patrzy w oczy łódzkich chłopców z okazji jakichś uroczystości, spotkań, akademii czy innych „apeli” — widzę jak te właśnie wyrazy spływają po nich, jak woda po gęsi, nie budząc żadnych uczuciowych skojarzeń.

Dlaczego?

Dlaczego nie czują ci nasi chłopcy dnia dziesiętego żadnych więzi z nimi, ich niemal rówieśnikami, których więzienna kibitka u nosiła z więzienia przy ulicy Długiej, Miłsza czy Targowej, ulicą Konstantynowską, kocimi łbami wybrukowaną, ku lasowi na Polesiu, gdzie czekała na nich śmierć.

Dlaczego tamci chłopcy katowani i gnębieni w więzieniach, pedzeni w mroźny Sybir, tak bardzo są odlegli od współczesnego pokolenia Polaków?

Dlaczego nie potrafiliśmy odkryć, że oni w gruncie rzeczy byli tak im podobni: kochali Polskę i kochali Łódź, zostawali w tej Łodzi swoje dziewczyny, swoich rodziców, siostry? Dlaczego i nasza literatura (poza Zeromskiem w „Róży” i chyba pogrążającym się zresztą coraz bardziej w niepamięć, Strugiem) nie poświęciła wybitnych utworów tym młodym bohaterom z czasów ponurej rosyjskiej niewoli? Dlaczego ich walka, cierpienie i bohaterstwo znalazły tak nisko odzwierciedlenie w plastyce?

Może właśnie „Śpiewnik” choć w drobnej części przywróci ich naszej pamięci. Może...

Początkowo (wiek XIX i początek XX) to wyraźna dominacja folkloru ludowego. Biedni chłopcy z bliższych (i dalszych) okolic Łodzi przynosili tu swój obyczaj, gwarę i piosenki. Czasem pod znaną melodię podkładali inne słowa, czasem je tylko trawestując. Ze swolich stron rodzinnych żywcem przynosili obyczaje związane z weselem, pogrzebem, chrzciniami, świętami. Odczyniano „uroki”, „zamawiano” choroby, wierzono w czary, a po cichu i w niektóre gusła.

Sam nieraz byłem tego świadkiem. Jeszcze na początku lat dwudziestych uczestniczyłem w weselu mojej kuzynki na Chojnach jako drużba. Wszystko odbyło się według przestarzałego obyczaju: było powitanie młodych wracających od ślubu (z chlebem i maleńkim dzieckiem), i przeniesienie Młodej przez Młodego przez próg, i oracja weselna, i ocepiny, i zbieranie „na czepek”, piosenki i przyśpiewki cenzuralne i nie bardzo.

Jedną z nich przytoczę:

„Jedzie wesele
Od Olechowa
Pana Młodego
Os... krowa.
A panią Młodą
Os... ciebie
Takie to było
Zas... wesele!”

Olechów, wieś podłódzka, dziś wchłonięta przez miasto, na pewno występuje w tej pioseneczce w miejsce innej wsi, skąd się wywodziła moja rodzinka spod Sieradza — gmina Gruszczyce. Na zabawach tańczyło się o choco i tak, jak tańczono na wsi, a więc polki, i oberki, i kujawiaki, i mazury, i wchodzić już w modę walce. Z przytupem, z hucaniem, z przyklekami, z pokrępowaniem. Ale wkrótce, zwłaszcza jak z latami wchodził w życie i do fabryk młode, urodzone już w

Łodzi, pokolenie, chłopskość odchodzi z wolna w cień. Natomiast pojawia się w niektórych piosenkach akcent niechęci czy wręcz wrogości do chłopów, którzy przecież w dalszym ciągu walą do Łodzi-Miasta, gdzie i o zarobek i o chleb łatwiej. Zadowolają się oni byle jakim zarobkiem, unikają związków zawodowych i partii, strajków lub manifestacji. Piosenki te będą miały zabarwienie satyryczne, czy wręcz szydercze, prześmiewcze.

Zacytuję jeden fragment:

„...Przyjechał Wojtek do Łodzi, chciał grać rolę pana,
Dostał się do fabryki, już chodzi od rana,
I już nie jest chłopem prostym, pije kawę czasem,
Wąsy smaruje pokostem, włosy koperwasem...”

Po I Wojnie Światowej przemysł łódzki, który bezpowrotnie stracił rynek zbytu na Wschodzie, nigdy nie osiągnie wysokości produkcji sprzed wojny. Fabryki, tracąc zbyt są okresowo zamykane, jeżeli „idą” to na 2-3 dni w tygodniu i, oczywiście, na jedną zmianę. Stąd i ludzimi nie do śpiewu. Pomimo to jednak śpiewa się na majówkach (choć już rzadziej), przepada już gdzieś „Fajka” w Zródliskach, kino (w latach dwudziestych nieme, w trzydziestych — już dźwiękowe) staje się rozrywką najpopularniejszą, bo i tanie i bardzo interesujące. Tańczy się teraz shimmy, one-steps, fox-trotta i slow-foxa, walca-bostona, wreszcie na parkietach i estrady wkracza zwycięsko — tango. Śpiewa się również w rytmie tych tańców.

Pojawiają się teatryki rewijowe, popularyzujące najnowsze szlagiery. Najprężniejszym organizatorem „rewii” był Edward Rej. Jego wędrownie teatry rewijowe propagują również „szmoncesy”, które są jakąś odległą parodią występów „Lopka” — Krąkowski.

W najbardziej nawet kiczowatych piosenkach z tych lat pobrzmiwają echa nędzy proletariackiej. Np.:

„Nasz fabrykant psu brat,
Majster jego szpicel
Traktują nas obaj
Jako psiki — hycel!”

Albo:

„W mieście — Łodzi, na Szlezyngu
U Gąsiorka my mieszkałi.
Ojciec z matką we fabryce
U Szajblera pracowali
Klucze na sznurku się nosilo,
Takich dzieci dużo było,
Ulica nas wychowała,
Serca nasze Łódź zabrała.”

Tra-ra-ra bieda z nami wszędzie szła
Tra-ra-ra fabryka na trzy dni szła.
Tra-ra-ra bezrobocie w Łodzi było,
Po obłady się chodzilo i to było źlell...”

Autorem ostatniej piosenki jest Antoni Teodorczyk, dziś 80-letni robotnik chojeński na emeryturze. Entuzjasta pracy społecznej w ogóle, a zespołów podwórkowych w szczególności. Kiedyśmy, zarząd TPE, wystąpili z inicjatywą zbierania dawnych „podwórkowych” piosenek, on sam odszukał ponad 200 dawnych śpiewaków i muzykantów. Zorganizował pierwszy „podwórkowy” zespół „Górnika”, w którym śpiewał.

Kiedy zmarł pierwszy skrzypek zespołu, koleżki ułożyli słowa i melodię utworu ku jego pamięci. Nie był to jedyny utwór, jaki się narodził w „Górniku”. To zjawisko powstawania takich właśnie i im podobnych pieśni i piosenek utwierdza mnie w przekonaniu, że folklor miejski nie jest eksponatem muzealnym, który należy tylko chronić i odkurzać.

Folklor żyje!

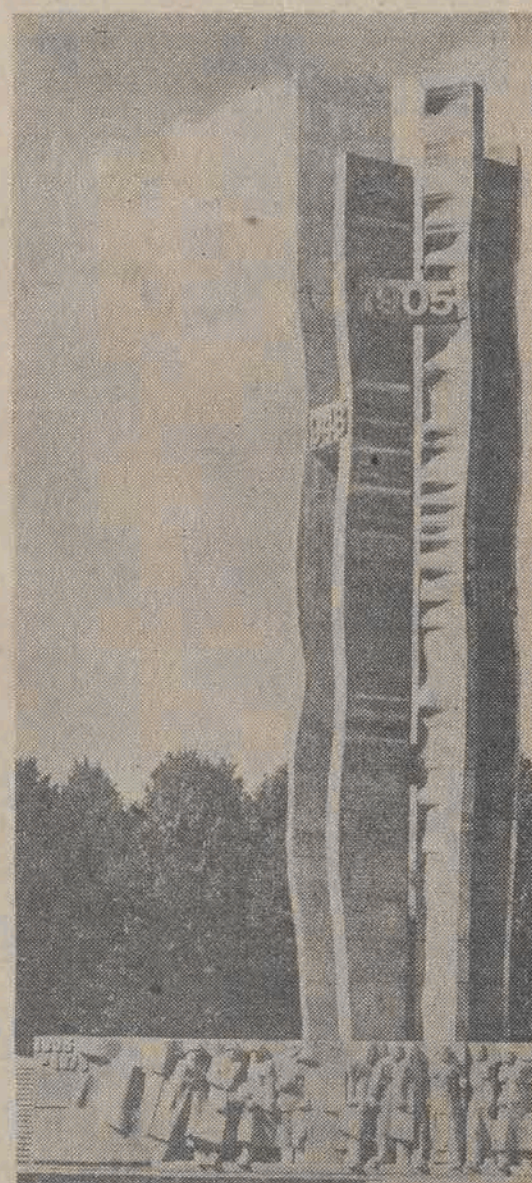
Piosenki współczesne (powojenne). Są tu nazwiska znane i uznane zarówno kompozytorów, jak i autorów tekstów. Moje serce starego łodzianina rośnie, że tyle utworów i tylu autorów.

Kiedy porównuję je z tamtymi piosenkami sprzed 100 lat, piosenkami zgrzebnymi z trudem i powoli odnajdującymi swoją oryginalną łódzką barwę...

Kiedy porównuję, uboższe tekstami i melodią z tymi ostatnimi — to w myśli powstaje mi Łódź mojego wczesnego dzieciństwa, Łódź, tylko na przyrepcalnych ulicach brukowana „kocimi łbami” a tak w ogóle przypominająca półmilionową wiochę, Łódź — z ponad 50 proc. analfabetów, Łódź — wielkiego wyższości i niepomiernej nędzy, Łódź — bez kanalizacji i wodociągów, Łódź — ech, co tam ciągnąć w nieskończoność ten okres! Kiedy porównuję ją, tamtą Łódź sprzed wieku z Łodzią dzisiejszą, miastem z 7 wyższymi uczelniami, wieloma instytutami i towarzystwami naukowymi...

Ten pańszczyzniany niedawno chłop, który stanął przy krosnach, wilku czy selfaktorze — ten ciemny, zabiedzony chłop jakąż musiał mieć, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, siłę przebiecia, by podjąć nierówną, jakże ciężką, ale przecież ostatecznie zwycięską walkę z uciskiem społecznym i niewolą narodową. Więc nie bądźmy pyszni i z równą atencją przyjmijmy wszystkie teksty i melodie.

Publikujemy obszernie fragmenty wstępu do „Śpiewnika łódzkiego” napisanego przez Mieczysława Woźniakowskiego.



Hej łodzianko czemuś smutna

Hej łodzianko czemuś smutna,
czemuś blada twój tuarz,
ty o Łodzi ciągle marzysz,
ty ją pewno w sercu masz.

Nędza z Łodzi mnie wygnana,
głód mnie zrucił pośród was,
śpiewałabym, nie mam komu,
szumi tylko wokoło las.

Jest tu u nas chleb i praca,
nie dokuży ci tu głód,
są tu domy i pałace
i jest tutaj dobry lud.

Wolę w Łodzi nędzę znosić,
wolę nędzę, wolę głód,
jeszcze dzisiaj was porucę,
pójde między łódzki lud.

W Łodzi ojciec, w Łodzi matka,
w Łodzi jest mój cały ród,
w Łodzi zem się urodziła,
w Łodzi będę brała ślub.

Łódź — moje rodzinne miasto,
ten potężny fabryk gród,
w Łodzi swoje życie spędzę,
w Łodzi będzie dla mnie grób.

Śnieżana w czasie pierwszej wojny światowej

Zagrzmiało, runęło

* * *

Zagrzmiało, runęło,
a wśród kupców łęć,
nareszcie, nareszcie
już pasek ich pęki.

Spekulant drze włosy
ze złości jak zwierzę,
czy piekarz, czy rzeźnik,
szewc i krawiec też.

Zagrzmiało, runęło,
w naszym handlu krach,
a paczka szwindlarzy
już tonie we łzach.

A wśród kupców łódzkich
strach ci nielada,
bo ich zbankrutuje
cała gromada.

Nie będą z ludzkości
te męty już kpić,
czekaj każdy inaczey
już dziś będzie żyć.

Śpiewała w latach międzywojennych

Maciek nie ma obu rąk. Amputacja po wypadku w dzieciństwie. Nie może używać protez. Ma sze, trzymając ołówki w ustach. Plisze, trzymając delikatnie akwarele i wie wszystko o sztuce złotniczej Benvenuto Celliniego. Jest zawsze roześmiany i pogodny, choć lepiej od nas wie, jak smakuje rozpacz i samotność. Od niedawna Maciek ma indeks studenta i roku historii sztuki. Ten jego indeks, to czubek góry lodowej. Maciek zdał egzamin wstępny ze wszystkich przedmiotów równo, na czwórki i odpadł z braku miejsc. Nie zmieścił się w „kluczu za pochodzenie społeczne”, zaszkodził mu tatuś, wiejski rzemieślnik. Wygrał intelektualnie gorszą Maćka, ale za to z właściwym pochodzeniem.

O punktach preferencyjnych napisano już tomy, że są przeżytkiem, że kompromitują politykę społeczną państwa, że wreszcie są przykładem walki ze skutkami zła, a nie z samym złem. Tajemniczą poliszynela jest, że wiele uczelni, chcąc wywiązać się z obowiązku „właściwej reprezentacji społecznej wśród studentów”, obniża poprzeczkę wymagań intelektualnych stawianych kandydatom do indeksu. Wszyscy się godzą z tym, iż na uczelnie winni dostawać się najlepsi, jeśli nie mogą wszyscy. Tymczasem punkty preferujące pochodzenie społeczne premiuje ostatni z warunków koniecznych dla uzyskania indeksu. Zdrowy syn robotnika jest bardziej hołubiony, niż bezręki syn rzemieślnika. To co z tego, że taka sytuacja jest tylko incydentem, że być może gdzieś indziej nie miałyby miejsca? Fakt, że w ogóle mogła się wydarzyć, sygnalizuje istnienie bardzo niepokojącej sytuacji społecznej.

W końcu Maciek otrzymał indeks po odwołaniu się do władz uczelni i dzięki interwencji kilku myślących ludzi. Rzecz jednak nie w tym, żeby trzeba było interwencji czy walenia pięścią w stół. Bo co będzie, gdy nie znajdzie się nikt, kto zaimię się sprawą. Przypomnijmy sobie porzekadło, że nie czyni dobra ten, kto tylko nie czyni zła.

SPRAWY NIE MA, CZY TYLKO JEJ NIE WIDAĆ!

Na ogół panuje przekonanie, że wśród studentów ludzie o różnym stopniu i typie niepełnosprawności stanowią zaledwie nikły procent. W jakimś sensie jest to prawdą, bowiem jedynie ułamek populacji młodzieży niepełnosprawnej trafia do szkół wyższych. Tymczasem fakty mówią zgoła coś innego. Studencka Poradnia Rehabilitacyjna w Łodzi przeprowadziła ocenę stanu zdrowia wszystkich studentów przyjętych w roku akademickim 1977/1978 na pierwszy rok studiów w Uniwersytecie Łódzkim. Ocena wykazała znaczny odsetek przewlekłych schorzeń rzutujących na sprawność fizyczną studentów. Z analizy wynika, że ponad 30 proc. ogólnej liczby studentów cierpi na przewlekłe schorzenia wymagające mniej lub bardziej intensywnego leczenia usprawniającego.

Olbryzmia ilość schorzeń to upośledzenia ustrojowe niewielkiego stopnia. W grupie tej znajdują się chorzy z nikłym skrzywieniem kręgosłupa, wadami serca, astmą oskrzelową i przewlekłymi nieżytami oskrzeli. Można by więc było pacjentów tych, nie odczuwających dolegliwości pozostawić ich własnemu losowi. Byłaby to jednak karygodna krótkowzroczność nie licząca się z następstwami takiego myślenia. Wiadomo bowiem, że nawet niewielkie ułomności lub schorzenia nie leczone i nie usprawniane w procesie rehabilitacyjnym doprowadzić mogą do trwałych zwyrodnień i zmian strukturalnych, a wreszcie do trwałego i nieodwracalnego inwalidztwa. Jednym słowem, byłoby to mnożenie osób niepełnosprawnych i inwalidów pozostających na utrzymaniu systemu opieki społecznej, nie mogących zawodowo wyzyskać zdobytych na uczelniach kwalifikacji, a tym samym skazanych na śmierć cywilną. Stąd też konieczność prowadzenia stałego i systematycznego usprawniania leczniczego u wszystkich chorych, nawet z niewielkimi upośledzeniami, zgodnie z zasadą profilaktyki inwalidztwa, tym bardziej, że właśnie w młodym wieku są największe szanse na powstrzymanie procesu chorobowego i poprawienie ogólnego stanu zdrowia.

Wśród przebadanych 1995 studentów (jest to wystarczająca liczba dla statystyki całej populacji studenckiej), zaledwie 54,3 procenta to młodzież zdrowa, kwalifikująca się — co jest wyznacznikiem sprawności fizycznej — do normalnych zajęć z zakresu wychowania fizycznego. Największa jest ilość skrzywień kręgosłupa w różnych stadiach (28,1 proc. chorych), następnie wady wzroku — 5,1 proc., inne przewlekłe schorzenia narządów ruchu — 3,1 proc., zaburzenia czynnościowego układu krążenia — 2,6 proc., wady serca — 2 proc., przewlekłe schorzenia układu oddechowego — 1,2 proc. Wszystkie wymienione schorzenia kwalifikują się do leczenia rehabilitacyjnego.

Część studentów niepełnosprawnych, to ludzie, którzy przyszli na uczelnię już jako inwalidzi różnego stopnia, część zaś, w wyniku urazu lub przebytej choroby utraciła na trwałe pełnię zdrowia w trakcie studiów. Ci pierwsi, to młodzi ludzie, którzy wykazali się ogromną wytrzymałością w dążeniu do celu i godną najwyższego szacunku siłą psychiczną. Już sam fakt, że młody człowiek-inwalida przechodzi trudny próg matury i egzaminów wstępnych, świadczy o jego sylwetce psychicznej.

O ilez trudniejsza od pokonania jest bariera własnego upośledzenia, załamania i zwykłego osamotnienia w świecie ludzi zdrowych. Potwierdzają to wyniki nauki takich studentów. Są po prostu lepsi. Ich wysoki rozwój intelektualny, dojrzałość psychiczna, to kompensacja fizycznej ułomności.

Jak wiele niezwykle cennego kapitału ludzkiego tracimy my, jako społeczeństwo, tylko

dlatego, że usypiamy się pozornym wrażeniem znikomości problemu. Tylko dlatego, że jesteśmy zwyczajnie ślepi i głusi.

Dane dotyczące Uniwersytetu Łódzkiego dają pewne wyobrażenie o stanie zdrowia młodego pokolenia inteligencji polskiej. Sytuacja na innych uczelniach w Polsce jest podobna, a bywa, że i gorsza. Wynika to często z warunków zdrowotnych środowiska (Górny Śląsk, Łódź) lub z sytuacji zdrowotnej w przeszłości. Tam, gdzie odnotowano swego czasu duże ogniska zachorowań na chorobę Heinego-Medinę, tam dziś pojawia się problem młodych inwalidów. Często liczba chorych znacznie przekracza połowę populacji. Oczywiście, mówiąc o osobach niepełnosprawnych studiujących w uczelniach wyższych, trzeba pamiętać, że proporcje rozkładają się różnie, zależnie od specyfiki uczelni. Jasne jest, że szkoły artystyczne, niektóre kierunki politechniczne, czy medycy-

JOLANTA WRONKA

Nienapiętnowani przestępcy

na, stanowią niejako naturalną barierę dla ludzi o pewnych typach ułomności. Jednakże absolutnie nie wolno twierdzić, że studenci-inwalidzi to znikomy ułamek ogółu, tym bardziej nie wolno, że...

BĘDZIE ICH WIĘCEJ...

...bo leży profilaktyka, higiena pracy umysłowej, wysiłku fizycznego, leży podstawowa kontrola zdrowotna dzieci i młodzieży. Lekarze biją na alarm prezentując liczby dzieci z wadami postawy, z daleko posuniętymi zmianami chorobowymi wynikającymi przede wszystkim z zaniedbań w procesie leczenia i rehabilitacji. Pogorszenie ekonomicznych warunków życia też robi swoje, ale większość przyczyn tkwi w niskiej świadomości higieny życia codziennego. Wreszcie — nie najmniej ważny — niski poziom kultury fizycznej ogółu społeczeństwa, powszechny brak znajomości zasad rozwoju psychofizycznego człowieka. Wszystkie te czynniki kumulują się w problemie ludzi niepełnosprawnych. Na naszej mentalności ciąży nadal garby przesądów, zgoda dulszczyzny. Za człowieka „na poziomie” uchodzi wciąż jeszcze ten, co to nie pomyli „Volkswagena” z „Volvo”, ale nie ten, co ma należycie wyreperowane i zadbane zęby.

Co znamienne, lekarze wskazują także na rodziców jako winnych powstającego zła. Ze albo ograniczają się do wikt i opierunku i od czasu do czasu sprawienia pedagogicznego lania, albo w nadmiarze rodzicielskiej troski hodują pod kłosem fizyczne i społeczne kaleki, niezdolne do samodzielności.

Jakże często dziecko — jak to mówią — słabowitego zdrowia, chronione jest przed jakimkolwiek wysiłkiem, przekarmiane, izolowane od grona zdrowych rówieśników. Okazuje się tymczasem, że brak mądrze planowanego wysiłku fizycznego... pogłębia na przykład wady serca lub postawy.

Zaniedbywane całymi latami budownictwo dla oświaty, przyniosło dziś efekty urągające higienie pracy umysłowej, w ogóle rozsądnemu rozłożeniu czasu pracy i wypoczynku. Jeśli dzieci uczą się do późna na popołudniowych zmianach, w przedładowanych klasach, przy sztucznym świetle, jeśli program nauczania nie bierze poprawki na warunki, w jakich odbywa się nauka, jeśli wreszcie meble szkolne (ławki, stoły, krzesła itd.) konstruowane są bez rozważania potrzeb fizjologicznych — to właściwie czego należy się spodziewać? Zdrowych, silnych pokoleń? Mowy nie ma! Przy stanie rzeczy, jaki jest, doczekamy się skarlałych, rachitycznych następców, przeklinających w żywy kamień swoich beznamiętnych przodków. I niech nas nie uspokaja widok pięknych dziewcząt i chłopców na ulicach. Według szacunków 40 (!) proc. młodzieży w granicach od 16 do 25 lat kwalifikuje się przynajmniej do gimnastyki rekreacyjnej, nie mówiąc o poważniejszym leczeniu. Lata nauki w tak wyposażonych i przedładowanych szkołach, pogłębiają dodatkowo istniejące uszkodzenia zdrowotne. Jeśliby dokonano oceny bazy technicznej systemu oświaty pod względem wymogów higieny zdrowia fizycznego i psychicznego młodzieży, to możemy sobie uczciwie powiedzieć, że mamy jeden z najlepszych na świecie systemów marnowania zdrowia. Ile szkół wszystkich szczebli posiada pełnowymiarową i dobrze wyposażoną salę gimnastyczną? Ile szkół ma własny basen? Jak wreszcie wygląda program wychowania fizycznego w naszym systemie oświaty? Toż latami całymi wś traktowane było po macoszemu, bez wykwalifikowanych kadr, bez sal, bez pojęcia o medycznym stronie kultury fizycznej i sportu. To i co się dziwić, że leży nasza lekkoatletyka i inne dyscypliny sportu wycynowego, a pianę na ustach przywodzą afery obuwniczo-kompetencyjne, bardziej niż baza sportu i zdrowia zawodników.

Ciągnać dalej tę żalobną litanie, wskazać trzeba na poważne zaniedbania w rozwoju bazy rehabilitacyjnej. Brakuje sprzętu, a ten, który jest, przypomina najczęściej zmyślne narzędzie tortur i skutecznego pogębiania inwalidztwa. Kto słyszał u nas, żeby jakiejś firmie opłacało się produkować — dajmy na to — lekkie wózki inwalidzkie z własnym napędem i szeregiem usprawnień, zwiększających samodzielność chorego. Kto chce robić kokosy na dobrych prote-

zach, na gimnastycznym sprzęcie rehabilitacyjnym? Jeśli nawet takie firmy są, to albo pracują w głębokiej konspiracji, albo szamoczą się z tysiącem trudności.

Wśród absolwentów medycyny rehabilitacji nie cieszy się wzięciem. Ciężki fach i na szybkie, a błyskotliwe efekty liczyć tu nie można. Przykład? Proszę — Łódzka akademicka służba zdrowia ma 1 (jednego) lekarza z tą specjalizacją, a chorych pod opieką około 500 osób. Z trudem i po latach przygotowano grupę przeszkolonych w rehabilitacji magistrów AWF, współpracujących z poradnią rehabilitacyjną. Brakuje etatów, brakuje pomieszczeń, a pensje akademickich lekarzy opieki podstawowej są w dodatku o 1500 zł niższe od lecnictwa miejskiego. I tak trwa ta beznadzieja, której jedynym skutkiem jest wzrost liczby niepełnosprawnych i pogłębienie inwalidztwa tych, którym nie ma się kto zaopiekować.

TAŃSZE SĄ BASENY

Pozornie tylko odbiegłam od tematu studentów-inwalidów. Pamiętajmy, że podejmujący studia młody człowiek to — że tak powiem — rezultat wieloletniego procesu. I jeśli nadal będzie się robić tak mało, jak dotychczas, za lat kilka może stanąć w obliczu tragicznych danych wskazujących na degenerację zdrowotną młodzieży.

GETTO NIE JEST ŻADNYM WYJŚCIEM

Tę — skrótową, ale bardzo celną opinię sły- szałam z ust wielu ludzi zajmujących się problemem osób niepełnosprawnych. Każdy wie, że lepiej walczyć z przyczynami rodzącymi zło, niż marnować siły na ograniczenie skutków zła już powstałego. Rehabilitacja — najkrócej rzecz biorąc — jest właśnie taką walką ze skutkami zła, a to kosztuje. Dużo kosztuje. Rzeczą pierwszą i podstawową jest rozpoznanie w skali problemu, a więc ilu jest ludzi wymagających leczenia rehabilitacyjnego, jakiego typu, w jakim okresie czasu, i z jakimi rokowaniami. I tu jest pies pogrzebany. Informacja w tej materii jest żadna, a wysiłki rozproszone. Szereg instytucji, niezależnie od siebie, usiłuje panować nad tym problemem, ale w rezultacie nikt nie wie, czy dane są kompletne. O wielu chorych się nie wie z tej prostej przyczyny, że nigdy nie trafili do lekarza. Wciąż jeszcze w wielu środowiskach pokutuje zabobon wstydlivosti kalekta. Stąd w prostej linii wiedzie się niebezpiecznie, a powszechne przekonanie, że... nie ma sprawy, że inwalidzi czy niepełnosprawni to nieliczna grupka, że niemal się nie liczy. Może dopiero prawo wielkich liczb za kilka lat dotrze do naszej świadomości? Ludzie mówią — że czasem lekkie stuknięcie palcem w czoło daje lepsze efekty, niż bicie w dzwon... Ale czego to ludzie nie mówią. Problem zaś ludzi niepełnosprawnych to także kwestia pieniędzy. Brzmi to brutalnie, ale zasoby ludzkie — wykwalifikowane i zdrowe — to przecież majątek narodowy, ale lekceważenie spraw tej grupy społecznej oznacza marnotrawstwo nieprzeliczalnego na żadną walutę dobra.

Oczywiście nigdy nie wyeliminuje się całkowicie zagadnienia inwalidów w życiu społeczeństwa. Zawsze chorzy i wypadki będą pochłaniały ofiary. Rzecz jednak w tym, by nie pogłębiać już zaistniałego upośledzenia, maksymalnie usprawniać ludzi dotkniętych chorobą, a przede wszystkim nie dopuszczać do tego, by brak wyobraźni i źle skalkulowane planowanie ideałów w zdrowotności społeczeństwa, mnożąc bezradnych, skazanych na cudzą pomoc. Jeśli wydaje się nam, że problem inwalidów leży tylko w sferze filantropijnego miłosierdzia, to zaczęliśmy liczyć. Kosztuje wszystko, coraz drożej. Kosztuje obalanie barier architektonicznych, skazujących inwalidów na niezawinioną utratę wolności. Kosztują remonty i adaptacje, kosztują prucie ścian, by wyposażyć pomieszczenia przystosowane dla niepełnosprawnych. W ilu wypadkach architektki i urbanisty, planując nową zabudowę, pamiętają o podjazdach dla wózków inwalidzkich, o szerszych windach, o sklepach, szkolach i kinach, z których mogą korzystać inwalidzi? Przykładem niech służy łódzkie uczelnie, zwłaszcza te rozsiane po całym mieście. Mało które budynki w ogóle spełniają wymogi właściwej nauze, a co dopiero marzyć o przedarciu się przez tę barykadę człowieka o kulach. Nikt, projektując nowe gmachy (dydaktyczne i socjalne) dla uczelni nie liczy się ze zdaniem lekarzy, chorych, czy nawet zdrowych użytkowników. Kosztuje leczenie rehabilitacyjne, często trwające latami. Kosztują sprzęt i lokale. Kosztuje organizacja miejsc pracy dla niepełnosprawnych, wymagają one specjalnego wyposażenia, innego rytmu niż praca ludzi zdrowych, innych — znacznie szerszych — zabezpieczeń socjalnych.

Kosztuje wreszcie czas. Czas to pieniąż, tracony na naprawianie błędów myślenia społecznego.

I rzeczywiście tańsze są baseny. W dzisiejszych czasach stać nas na bardzo niewiele. Ale tym bardziej nie stać nas na rozpraszenie tych szczupłych środków. Więc chyba lepiej skierować wysiłki tam, gdzie zaniedbania powodują geometryczny przyrost zła. Najtańsza i najbardziej rentowna jest inwestycja w człowieka. Dlaczego trzeba inwestować w baseny pływakie, w korty i boiska, w sale gimnastyczne, w oświetlenie i lodowiska? To nie jest reklama GKKFiS, to jest biznes z dalekosiężną perspek-

tywą. Każdy specjalista od rehabilitacji potwierdzi tezę, że pływanie jest najznakomitszym treningiem, harmonijnie rozwijającym organizm. Jest skuteczną metodą leczenia — rekreacyjną — w wypadku niewielkich zmian chorobowych, ograniczającą postęp choroby, a usprawniającą w wypadku poważnego ubytku zdrowia. Sport, kultura fizyczna są najtańszą tamą stawianą kalektu. Jest przy tym jeszcze jeden, najważniejszy aspekt. Dla osób niepełnosprawnych i inwalidów, sport oznacza akceptację własnego inwalidztwa, osiągnięcie pozytywnej motywacji do czynnego, twórczego życia. Chroni przed zasklepieniem się w kompleksach i w izolacji od społeczności ludzi zdrowych.

Zamiast więc coraz większe sumy w budżecie państwa przeznaczać na pomoc społeczną, renty inwalidzkie i zasiłki, lepiej inwestować w zdrowie ludzkie.

Wracając na poletko akademickie, statystyki poradni rehabilitacyjnych stwierdzają, że większość inwalidów, która podjęła studia, nigdy przedtem nie była poddana leczeniu i rehabilitacji. Można więc paradoksalnie powiedzieć, że inwalidzi trafiający na uczelnie to szczęśliwcy, bowiem raz znalazłszy się pod kontrolą medyczną nie zostaną straconi z oczu. Jest szansa maksymalnego ich usprawnienia i przygotowania do samodzielnego życia i aktywności zawodowej. Jeszcze raz wypada przypomnieć, że rehabilitacja osób niepełnosprawnych — nie tylko przecież studentów — ma także istotny wymiar ekonomiczny. Chorzy nie porzucają studiów, nie przedłużają czasu ich trwania, bo równoległe trwa leczenie. Nie trafiają na listę skazanych na wieczyste miłosierdzie, bo zdobywszy zawód, jednocześnie są zdolni go wykonywać, choć oczywiście przy spełnieniu szeregu warunków. Gdzie jest powiedziane, że bezręki historyk sztuki nie może być cenionym i poszukiwanym specjalistą od — dajmy na to — rzeźby gotyckiej? Jeśli procent ludzi niepełnosprawnych wśród inteligencji aktywnej zawodowo, ale i w każdym innym zawodzie jest tak mały, to nie dlatego, że wśród inwalidów nie ma zdolnych. Przyczyną jesteśmy my, społeczeństwo zdrowych i... beznamiętnych.

GETTO NIE JEST ŻADNYM WYJŚCIEM

Napiętnowani przestępcy — tak ludzi niepełnosprawnych określiła prof. Sokółowska, socjolog medycyny, zajmująca się m. in. socjologią inwalidztwa. Nie ciąży na nich społeczna anatema, jak na zbrodniarzach, ale otacza aura niejasności, zmieszana z litością nagana. Nie wiadomo, czy strzec się takich, czy współczuć im. A prawda jest taka, że w odniesieniu do ludzi niepełnosprawnych przestępcami jesteśmy my — zdrowi. Nieprzeciwdziałanie istniejącemu złu nie uwalnia od odpowiedzialności. Był Rok Inwalidów, pokłosiem „wielkiej akcji” jest bardzo niewiele. Przykładem tego może być także Uchwała Sejmu PRL „W sprawie inwalidów i osób niepełnosprawnych” z 19 września br. Cel był szlachetny, ale w Uchwale po-brzmiewa miejscami tak charakterystyczny w tej sprawie sposób myślenia. Pomijam już ton — zróbmy, powinniśmy, itd. O to mniejsza. Groźniejszy jest tok rozumowania, wedle którego inwalidów uszczęśliwiłi spóldzielczości inwalidzka oraz Rada Doradcza przy Premierze. Tymczasem sedno tkwi gdzieś indziej. Nie tworzyć getta! Oto podstawowy wyznacznik działań w tej sferze. Nie budować oddzielnych domów dla inwalidów, lecz normalne — dla wszystkich, tyle że przystosowane dla niepełnosprawnych. Nie zamykać inwalidów w ich własnym środowisku, gdzie mieszkają wśród siebie, uczą się i pracują wyłącznie w gronie takich samych upośledzonych, o ile w ogóle mają tę możliwość. Nie o to chodzi. Myślę, że istota sprawy tkwi w niezrozumieniu, czym jest i jakie cele winna spełniać rehabilitacja niepełnosprawnych.

W sensie medycznym jest to proces leczniczy, który umożliwia przyspieszenie naturalnej regeneracji oraz zmniejszenie następstw ustrojowych i psychicznych spowodowanych chorobą. Ostateczna ocena rezultatów leczenia nie może się sprowadzać do utrzymania chorego przy życiu, ale również obejmuje jego szeroko rozumianą sytuację biologiczno-socjologiczną, a więc sposób jego dalszego życia w społeczeństwie. Zatem — rozumiejąc szerzej — rehabilitacja to przywrócenie zdolności do twórczego, lub przynajmniej samodzielnego życia. Trzy wzajemnie się uzupełniające kierunki działania wobec chorego obejmują rehabilitację zdrowotną — przywrócenie maksymalnej sprawności organizmu; rehabilitację psychiczną — dążącą do wytworzenia u chorego mechanizmów kompensacyjnych. Znane są przypadki nawet hiperkompensacji psychicznej, kiedy to osoby niepełnosprawne osiągają wybitne rezultaty w alpinistyce czy żeglarskiej. Trzecim elementem jest rehabilitacja społeczna, a więc umożliwienie inwalidom wejścia w normalny rytm życia społecznego. Jeszcze raz podkreślam, nie na specjalnych warunkach, nie w cuchnącej otoczce litościwej wielkoduszności, ale na normalnych prawach i obowiązkach każdego obywatela. Jeśli mamy choćby o krok posunąć do przodu zaniedbany problem inwalidów, musimy odrzucić proszącą wersję hasła „Im najtrudniej — pomóż”, na żądającą — „Im najtrudniej — im się malej”. Jest w tej dziedzinie co robić przez najbliższe pięćdziesiąt lat. Ogromne znaczenie ma tu kształtowanie kultury myślenia społecznego, w duchu akceptacji tych „innych”, traktowania ich zwyczajnie i bez fanfar.

Wyrażam gorące podziękowanie za pomoc udzieloną w zbieraniu materiału przez dr Janinę Benczak, dyrektora Zespołu Opieki Zdrowotnej dla Szkół Wyższych w Łodzi oraz dr Mirosławowi Janiszewskiemu, kierującemu oddziałem rehabilitacji za udostępnienie opracowań odnoszących się do tematu.

W Afryce słowo Namibia brzmi obecnie raczej jak okrzyk bojowy niż nazwa kraju, zaś w świecie łączy się z ostatnim rozdziałem historii wyzwalania się krajów spod jarzma kolonialnego. Jeśli ktokolwiek chciałby nakreślić prawdziwy i wszechstronny obraz Namibii, byłby to dreszczowiec. Tło stanowiłyby tu pustynie, partyzanci, Afrykanerzy i niewidzialne linie frontu walki.

Jeszcze kilkanaście lat temu Namibia (Afryka Południowo-Zachodnia) była całkowicie odizolowana od reszty świata. Pretoria bezprawnie sprawująca władzę nad tym obszarem nie wpuszczała nikogo, nawet dziennikarzy zachodnich. Tylko od czasu do czasu o Namibii słyszano się w relacjach z dyskusji w ONZ i organizacjach międzynarodowych, gdzie domagano się niepodległości dla tego kraju, bądź w skąpych doniesieniach agencji prasowych o strajkach i walkach zbrojnych, prowadzonych przez ludność murzyńską. W ostatnich jednak latach ten działy najstarszy nie rozwiązuje problemu kolonialny jest tematem wielu artykułów i reportaży szeroko przedstawiających sytuację w Namibii.

Mariaż Namibii z Republiką Południowej Afryki zrodził się dzięki Niemcom (po I wojnie światowej Liga Narodów w imię świętego powiernictwa cywilizacji przekazała mandat nad tą kolonią RPA) Po ponownym klęsce Niemiec — w II wojnie światowej, gdy wszystkie terytoria mandatowe podlegały międzynarodowemu powiernictwu ONZ, Republika Południowej Afryki odmówiła zastosowania się do uchwały tej organizacji. Choć ONZ odebrała RPA wszelkie prawa do Namibii, a rządy Pretorii na tym terytorium określiła okupacją, organizacje międzynarodowe i opinia światowa były bezradne wobec rasistowskiej polityki. Nie odniosły też skutku wszelkie uchwały ONZ, w tym nawet ultimatum Rady Bezpieczeństwa.

Sytuacja białych osadników stała się jednak wielce skomplikowana, gdy po zwycięstwie sił lewicowych w Angoli, została odsonięta północna granica Namibii. Na sawannach pogranicza angolsko-namibijskiego rozpoczęła się walka — walka, która może nie ma szans zbrojnego wyzwolenia terytorium, ale która wciąż przypomina światu o hańbiącym współczesną cywilizację relikwie kolonializmu na południu Afryki.

Namibia licząca niespełna 1,5 miliona mieszkańców jest bezkresnym i pięknym obszarem afrykańskiej ziemi. Gęstość zaludnienia i zróżnicowanie ludności zarówno wśród czarnych jak i białych stwarzają zupełnie odmienne tło w zestawieniu z innymi krajami Czarnego Kontynentu, w tym z Zimbabwem, do której jest tak często porównywana.

Półowa ludności Namibii rozsiadana jest na obszarze należącym do plemienia Owambo na północy, wielu czarnych robotników zamkniętych na tamtejszych farmach nigdy nie widział zarbanizowanych obszarów. Sama zaś stolica, Windhoek nie jest centrum przemysłowym, tak jak liczne miasta stołeczne w Afryce; ma ona raczej charakter miasta o funkcjach handlowo-rolniczych.

W rezultacie obecności kolonialnej Afryki Południowej w Namibii, 1,4 mln czarnych żyje w stanie powszechnego ubóstwa. Jak we wszystkich gospodarkach klasycznego typu kolonialnego, Namibia wytwarza to, czego nie spożywa i spo-

żywa to, czego nie wytwarza. Działalność gospodarcza jest nastawiona niemal wyłącznie na wywóz: ryby, bydło i bogactwa mineralne stanowią 99 proc. eksportu.

Prawie 6 tys. farmerów białych dzieli między siebie najlepsze ziemie przeznaczone pod hodowlę, a jednocześnie ludność czarną umieszczono w rezerwach plemiennych zorganizowanych na wzór bantustanów południowo-afrykańskich. Namibijscy są zmuszeni sprzedawać swoją siłę roboczą bądź w majątkach rolniczo-przemysłowych, bądź w kopalniach należących do białych, znajdujących się na obszarze własnego kraju.

Namibia obfituje w kopaliny. Spółka Consolidated Diamond Mines należąca do kapitału południowo-afrykańskiego ma monopol na eksploatację najbogatszych na świecie złóż diamentów w południowej części tego kraju, a Tsameb Corporation należąca głównie do kapitału amerykańskiego eksploatuje cztery kopalnie, w których wydobywa się cynk, ołów, miedź, kadm. Kopalnia Rossing, którą w ostatnich latach wyposażono w bardzo nowoczesny sprzęt, dostarcza obecnie około 5 proc. światowego wydobycia uranu. Mimo ponawianych przez Narody Zjednoczone ostrzeżeń, inwestycje spółek narodowych w dziedzinie górnictwa poważnie wzrosły w ostatnich latach. Inwestorów pociąga zwłaszcza wysoka stopa zysku i możliwości eksportowania zasadniczej części dochodów. To wszystko ma na celu umocnienie dominacji południowo-afrykańskiej w tym obszarze, a zarazem umocnienie wpływów Zachodu.

Bogactwa naturalne Namibii, doskonałe warunki dla hodowli i odstraszaający wyzysk połączony z dyskryminacją rasową, stworzyły tutaj białym istny raj na ziemi. Ich stopa życiowa jest wyższa niż w RPA, a nawet w Republice Federalnej Niemiec, czym właśnie od czasu do czasu próbują skusić do przyjazdu swych na ogół nie lub niewiele wiedzających o tym kraju rodaków.

☆ ☆ ☆

Dzisiejsza Namibia jest bardziej niemiecka niż w latach międzywojennych — stwierdza wielu dziennikarzy odwiedzających ten kraj. Nieważne, że ludność niemiecka licząca 30 tys. osób, stanowi tylko trzecią część białych Afrykanerów. O jej dominacji świadczą bowiem inne fakty: oficjalnym językiem jest tu niemiecki, Niemcy też zajmują kluczowe stanowiska we władzach miejskich, łącznie ze stanowiskiem burmistrza stolicy, oni też posiadają wielkie wpływy w gospodarce tego kraju.

Stolica Namibii, Windhoek jest jakby małym kawałkiem Vaterlandu przeniesionym żywcem pod Zwrotnik Koziorożca. „Gdyby nie czarni kelnerzy, można by sądzić, że są to piwiarnie w Monachium, Stuttgartu czy w Berlinie” — pisał jeden z niemieckich korespondentów. Opisy piwiarni i członków orkiestr dętych — mężczyźni w skórzanych spodenkach i tyrolskich kapeluszach — sztyldów i ulic — owszem, jest i ulica Goeringstrasse, upamiętniająca pierwszego gubernatora, Heindricha Goeringa, ojca Hermana, relacje z wielu rozmów i własne refleksje korespondentów sprwadają się do jednego wniosku: nie ma się co dziwić, że

NAMIBIA

Płomień na sawannach

HENRYK SROCYŃSKI

Afryka Południowo-Zachodnia jest państwem o jeszcze sztywniejszym systemie supremacji białych niż sama Republika Południowej Afryki.

Niemcy, którzy zaczęli usadawiać się tu w końcu ub. wieku, próbowali uczynić z Deutsche Sud Westafrika wzorowe państwo teutońskie. „Dla narodów o poziomie kultury tubylców z Afryki Południowo-Zachodniej — stwierdzał dokument niemieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych — utrata ich naturalnego barbarzyństwa i przekształcenie w klasę pracowników pozostających na usługach i zależnych od białej ludności, jest w istocie ich prawem do egzystencji na wyższym poziomie”.

Plemię Herero, które nie chciało ulec okrutnym kolonizatorom, zostało prawie doszczętnie unicestwione. Również plemię Nama stawiające opór było systematycznie dziesiątkowane.

Choć później Liga Narodów przekazała mandat nad tą kolonią Republice Południowo-Afrykańskiej, niemieccy osadnicy nadal dominowali utrzymując swój system podporządkowania ludności murzyńskiej. W latach trzydziestych niemieccy osadnicy stali się jawnie nazistowscy: urządzano pocho-

dy brunatnych koszul, wywieszano flagi niemieckie, noszono na ramionach opaski ze swastyką. Jednakże próba Hitlera odzyskania tej kolonii zakończyła się fiaskiem — wtrągnięta tu policja RPA i zajęła wszystkie ważne gmachy, a co bardziej zagorziałych nazistów internowano.

Czarni mieszkańcy Namibii, mimo wszystkich swych cierpień, zachowali dumę i szacunek dla samych siebie. Zwłaszcza dają temu wyraz członkowie plemienia Herero. Ich kobiety, które chodzą po mieście w swoich pięknych wiktorjańskich sukniach i stylowych kapeluszach, nie zdradzają najmniejszych oznak lęku czy serwilizmu w stosunku do białych.

Wśród białych osadników ludność pochodzenia niemieckiego stanowi tylko czwartą część (25 tys. na 100 tys. białych). Od jakiegoś czasu Niemcy są jednak bardziej ugodo- wi wobec ludności czarnej niż Afrykanerzy; ludność pochodzenia niemieckiego, a zwłaszcza ta jej część, która jest związana z biznesem, uświadamia sobie, że musi dojść do ładu z czarnymi, jeśli chce w ogóle przetrwać. Sami zaś Afrykanerzy dzielą się na dwa zasadnicze odciany: znaczną ich

część to nacjonaści, którzy sprzeciwiają się jakiegokolwiek współpracy z czarnymi, pozostali to zwolennicy Demokratycznego Sojuszu Turnhalle (DTA), który stanowi koalicję z konserwatywnymi partiami czarnymi.

Przed kilku laty za sprawą RPA powstał w Namibii fikcyjny rząd składający się z białych i uległych polityków murzyńskich. To posunięcie obliczone na utrzymanie status quo było naiwnym manewrem. Potępiły takie kroki przede wszystkim państwa tzw. frontowe (Botswana, Angolia, Mozambik, Tanzania i Zambia), które wspierają walkę SWAPO.

Organizacja Ludu Afryki Południowo-Zachodniej (SWAPO) została uznana przez ONZ jako pełnoprawny przedstawiciel ludności tego kraju i z tej racji domaga się wyborów, w których mogłaby rywalizować z innymi partiami politycznymi. Odrzucenie zaś przez RPA partnerstwa tej organizacji w rozmowach nad przyszłością Namibii, skłania ją do rozszerzenia frontu walk; ostatnio oddziały SWAPO zbliżyły się do miast i stanowią zagrożenie dla białych osadników.



Fakt, że Afrykanerzy nie bardzo jeszcze zdają sobie sprawę z tego, że rewolucja namibijska stanowi poważne niebezpieczeństwo dla białych osadników, albo przeciwnie — zdają sobie sprawę i liczą, że w decydującym momencie państwa kapitalistyczne staną w ich obronie, zmusza USA do poszukiwania rozwiązań w tym konflikcie. Zadanie takie, a mówiąc otwarcie podjęcie działań mających maksymalnie ochronić interesy Zachodu w przyszłym niepodległym państwie namibijskim, przyjął na siebie tzw. grupa kontaktowa pięciu państw: USA, Wielka Brytania, Francja, RFN i Kanada.

Mimo licznych spotkań z zainteresowanymi stronami, w tym z państwami tzw. frontowymi i ze SWAPO, dorobek tej grupy jest niewielki. Wciąż rozmowy toczą się na temat zasad wyborów, które miałyby się odbyć w marcu 1983 r.

W rzeczywistości postęp w negocjacjach zależy od całkiem innej sprawy. Niedawno w Waszyngtonie oficjalnie oświadczone, że „USA uważają, iż powołanie rokowań nad niepodległością Namibii uzależnione jest od porozumienia w sprawie wycofania wojsk kubańskich z Angoli”. To stanowisko amerykańskie widoczne było w trakcie rozmów praktycznie od początku prezydentury Ronald Reagana. Biorąc pod uwagę globalną strategię, Amerykanie uznają, że RPA jest strażnikiem Oceanu Indyjskiego (chroni drogę wokół Przylądka z Europy na Daleki Wschód lub do Zatoki Perskiej) i z tej racji nie może być w jakikolwiek sposób zagrożona przez lewicowe rządy.

Na temat uzależnienia niepodległości Namibii od wycofania wojsk kubańskich wypowiedział się prezydent Angoli, Dos Santos. Na wiecu w Luandzie mówiąc o sukcesach, jakie odnosiła partyzanci SWAPO, podkreślał, że obecność wojsk kubańskich związana jest z intencjami RPA zniszczenia socjalistycznej władzy w Angoli. Zaś minister spraw zagranicznych Angoli, Paolo Jorge oświadczył, że wojska kubańskie zostaną wycofane jedynie po uzyskaniu niepod-

ległości przez Namibię i tylko wówczas, gdy RPA nie będzie stanowiła zagrożenia dla Angoli.

Wiązanie procesu dekolonizacji z obecnością obcych wojsk w sąsiednim kraju (na mocy dwustronnego porozumienia) jest oczywistą grą na zwłokę. Najlepszym jednak przykładem świadczącym, jaki rzeczywistość jest stosunek Stanów Zjednoczonych do państwa apartheidu, stanowi kwestia sankcji, jakie zamierzają podjąć ONZ, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i inni sojusznicy zachodni odmówili, zwłaszcza w Radzie Bezpieczeństwa, rozważenia sprawy sankcji przeciw RPA i uczynili wszystko co możliwe, by udaremnić wszelkie międzynarodowe próby społeczności w celu ogłoszenia restrykcji wobec RPA. Na ten temat najpełniej wypowiedział się wiceprezydent Nigerii, dr Ale Ekwueme. Stwierdził on:

„Byliśmy świadkami bojkotu igrzysk olimpijskich zorganizowanego przez Stany Zjednoczone przeciw ZSRR ze względu na rolę Związku Radzieckiego w Afganistanie. Wówczas Stany Zjednoczone były w stanie skłonić niektórych swych zachodnich sojuszników by przyłączyli się do bojkotu igrzysk. Ale kiedy my zwracamy się o przerwaniu kontaktów sportowych z RPA, te same kraje, które bojkotowały Olimpiadę w Moskwie, mówią nam, że w ich krajach organizacje sportowe są niezależne... Wiemy, że oprócz bojkotu sportowego USA w tym samym czasie ogłosiły pewne sankcje handlowe wobec ZSRR. Uczynił to ten sam rząd Stanów Zjednoczonych, który przewodził opozycji przeciwstawiającej się ogłoszeniu podobnych sankcji wobec RPA za jej haniebne zbrodnie wobec ludzkości...”

Reagując na ostatnie wydarzenia w Polsce, Stany Zjednoczone ogłosiły serię sankcji przeciw temu krajowi. W tej kwestii USA zignorowały jeden ze swych głównych argumentów wysuwanych przeciw ogłoszeniu sankcji wobec RPA o tym, kto z tego powodu ucierpi. Kiedy Stany Zjednoczone zerwały kontakty na dostawę różnych towarów i urządzeń do Polski, i zabroniły eksportu towarów z USA, nie zastosowały wobec rządu polskiego tzw. „doktryny konstruktywnej współpracy”, na jaką ostatnio powołują się w stosunkach z RPA, ponieważ nie było to im wygodne... Skoncentrowałem się na sankcjach, gdyż my w Afryce głęboko wierzymy, że sankcje wobec RPA są jedyną pokojową alternatywą uniknięcia krwawej wojny”.



Namibia stanowi jeszcze jeden rozdział afrykańskiej tragedii. Namibia, która ma takie same prawa do niepodległości jak inne państwa, a której „nieszczęściem” jest to, iż stanowi tak ważny dla Zachodu rejon na południu Afryki, dowodzi, że w polityce Stanów Zjednoczonych nie liczy się prawo, nie liczy się światowa opinia i nie liczą się elementarne wymogi współczesnej cywilizacji. Liczy się tylko interes — interes wpływający z egoizmu bogatych, z ich obłudy, i z ich chęci utrzymania dominacji nad słabszymi.

Kometa Halleya zbliża się do Słońca

Kometa Halleya mknie swym eliptycznym torem, po którym co 76 lat obiega dookoła Słońca. Tym razem ziemscy astronomowie są gotowi do przyjęcia gościa. Przygotowali oni największy z dotychczas zorganizowanych projektów astronomicznych, aby dokładnie zbadać to ciało niebieskie. Kometa powitają aparaty kosmiczne z Azji, Europy, Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego, przeznaczone do pobrania próbek, robienia zdjęć i zebrania innych danych w czasie, gdy kometa będzie znajdować się najbliżej Ziemi, to jest od końca 1985 i na początku 1986 r. Ponadto międzynarodowa sieć składająca się z 50 obserwatoriów astronomicznych i około 100 astronomów będzie prowadziła obserwacje z terytorium Indii, Indonezji, Argentyny, Brazylii, Chile i Australii.

Międzynarodowa Obserwacja Halleya została zaplanowana pod koniec sierpnia w greckiej miejscowości Patras, gdzie omawiano strategię prowadzenia badań. Wspecjalizowane sekcje astronomii powołały zespoły, które będą prowadziły szczegółowe obserwacje warkocza komety, jej głowy, orbity i jasności światła. Astronomowie będą się

posługiwali zarówno tradycyjnymi teleskopami optycznymi, jak również technikami radiowymi i obserwacji w podczerwieni. Ich prace muszą być zaplanowane i skoordynowane w jednolity program badań.

Jednym z najważniejszych celów tego międzynarodowego przedsięwzięcia będzie zbadanie właściwego składu chemicznego komety za pomocą analizy widmowej...

Spektroskopia jest metodą określania składu chemicznego jasnego obiektu przez rozkład jego światła na widmo o różnej długości fal. Każdy składnik chemiczny tego obiektu wytwarza charakterystyczny wzór linii o specyficznych długościach fal, równie indywidualizowany jak odciski palców danej osoby. Dzięki temu, że żaden składnik nie wytwarza takiej samej wiązki linii, naukowcy mogą określić skład komety w drodze analizy wzorów widmowych.

Podstawowa informacja, której szukamy, jest dokładna proporcja zamrożonej wody w głowie komety — mówi dr Susan Wyckoff. Już od dawna podejrzewano, że komety zawierają wodę. W 1950 roku Fred Whipple pierwszy wysunął hipotezę, zgodnie z którą głowa komety składa się z lodu i pyłu — coś na wzór zanieczyszczonej kuli śniegu. (...) To właśnie zamrożona woda nadaje kometom ich wielkość. Kiedy kometa zbliża się do słońca, lód topi się, tworząc chmurę otaczającą głowę i wydłużającą się w „ogon”. Światło na niego padające sprawia, że cząsteczki wody polskują.

Komety były obserwowane przez ludzi z nabożnym lękiem i niepokojem, gdyż mknąc po niebie zadawały kłam stałej, niezmiennej naturze niebios. Starożytni Chińczycy nazywali je „płynącymi gwiazdami” i traktowali jako oznakę niezadowolenia niebios z ich cesarza. Rzym oglądał kometa Halleya w 43 roku przed naszą erą jako boski ryzywan powożony w nagrodę przez niedawno zamordowanego Juliusza Cezara. Anglosasi byli w 1006 roku tak zdumiewani „uświeleną gwiazdą”, że uznali ją za zły omen dla swego króla Harolda, który później został pokonany przez Wilhelma Zdobywcę.

Kiedy nauka przezwyciężyła nad strachem i przesadami, komety były badane jako części natury, a nie przejaw czegoś nadprzyrodzonego.

Edmund Halley pierwszy dostrzegł zasadę powtarzalności pojawiania się najbardziej widowiskowej komety. W 1705 roku przewidział, że powróci ona na przełomie lat 1758/59. Zmarł jednak zanim pojawiła się znów. W uznaniu jego zasług naukowcy nazwali ją jego imieniem.

Kiedy kometa pojawiła się w 1910 roku, astronomowie z całego świata próbowali skoordynować obserwacje. Jednakże nie rozwinięte środki łączności i prymitywne przyrządy uniemożliwiły realizację tych nadziei. I chociaż udało się zrobić zaskakujące fotografie, to jednak nie dokonano bulwersujących odkryć.

Tymczasem informacja, że Ziemia mogłaby zetknąć się z warkoczem komety wywołała powszechne zaniepokojenie, gdyż warkocz zawiera cyjan, pochodną cyjanku. Obawiano się niestusnie, że ziemska atmosfera może zostać zatruta, unicestwiając tym samym życie. Jednakże w 1910 roku koniec świata nie nastąpił. Warkocz komety jest zbyt rozrzedzony, aby stanowił jakiegokolwiek zagrożenie, niezależnie od rodzaju substancji chemicznych, jakie mogłyby się tam znajdować. Kometa Halleya może dostarczyć raczej klucza do tajemnicy pochodzenia życia, niż stanowić zagrożenie dla życia na Ziemi.

Oprócz wody, komety składają się z pyłu międzygwiazdowego i gazu, które były zaczątkiem słońca i planet. W rzeczywistości komety mogą zawierać klucz do wykrycia pierwotnej natury mgławicy słonecznej. Ponadto mogą one pomóc naukowcom w ustaleniu wspólnych składników występujących w całym wszechświecie. Zdaniem dr. Wyckoff, wśród składników tworzących komety znajdują się woda, amoniak, dwutlenek węgla, tlenek węgla, a nawet czysty węgiel, czyli wszystkie składniki niezbędne do powstania życia organicznego. Jeśli składniki te występują w całej przestrzeni kosmicznej, może to oznaczać, że podstawowe pierwiastki niezbędne do powstania życia organicznego nie ograniczają się do Ziemi...

BRITTON BLOOM
(„The Christian Science Monitor”)

Specjalny wysłannik dziennika Francuskiej Partii Komunistycznej L'HUMANITE, Alain Wasmes, przeprowadził w Libanie wywiad z sekretarzem generalnym LPK — Georgem Hawim, który opublikowano 1 października 1982 r. Tekst publikujemy z nieznacznymi skrótami.

— Miesiąc temu wybór Bechira Dżemajela wydawał się być ukoronowaniem izraelskiej okupacji Libanu. Bechir rzeczywiście był uważany przez lewicę i przez patriotyczne siły libańskie za „kandydata izraelskich czołgów”. Następnie Bechir Dżemajel został zamordowany i prezydentem wybrano jego brata, Aminę Dżemajela, który chociaż również jest człowiekiem Falangi Libańskiej, stał się przedstawicielem jedności narodowej grupując wokół swej kandydatury siły islamskie i patriotyczne. Libańska Partia Komunistyczna, jak wiadomo, pozytywnie ocenia jego wybór na prezydenta. Jak wytłumaczyć tę ewolucję w waszych ocenach, jakie były różnice pomiędzy obu tymi aktami wyborczymi oraz obu wybranymi prezydentami?

— Nie ulega wątpliwości, że Bechir Dżemajel nigdy nie mógłby dojść do stanowiska prezydenta Republiki bez okupacji izraelskiej i poparcia, jakiego udzielił jej Amerykanie. Dotyczy to również nowego prezydenta Aminę Dżemajela. Jego dojście do urzędu prezydenta, tak jak byliby to z każdą inną kandydaturą Falangi, nie byłoby możliwe bez dramatycznych wydarzeń, jakie stały się udziałem kraju: inwazji izraelskiej, a wybór i następnie zamordowanie jego brata Bechira, bez izraelskiej inwazji na Bejrut zachodni. Układ sił w kraju nie był w istocie sprzyjający dla Falangi Libańskiej, ani dla Frontu Libańskiego (grupowania utworzonego przez Bechira Dżemajela, który zjednoczył w nim różne formacje milicji chrześcijańskich), lecz ist-

Liban, Izrael i Palestyńczycy

nieje jakościowa różnica pomiędzy warunkami i okolicznościami, w jakich dokonywano wyboru Bechira Dżemajela, a tymi, w których dokonano wyboru obecnego prezydenta. Nie polegało tylko na różnicy postaw obu braci w ramach tej samej partii — Falangi Libańskiej; Amin Dżemajel czynił wysiłki, aby stworzyć wrażenie człowieka umiarkowanego, otwartego na dialog i odrzucającego przemoc. Odmówił wszelkich kontaktów z Izraelem i wezwał do porozumienia ze światem islamskim, robił wrażenie człowieka dbającego o obronę demokracji i jedności kraju. Bez wątpienia te różnice pomiędzy obu tymi osobistościami wywarły swój wpływ na postawę sił islamsko-patriotycznych, lecz zasadniczym powodem poparcia udzielonego dla kandydatury Aminy było pragnienie skupienia wszystkich Libańczyków pod hasłem walki z izraelską okupacją.

Izraelczycy ujawnili swoje cele wobec Libanu poprzez zabójstwo wybranego prezydenta Bechira Dżemajela. Ciał świat w istocie oskarża o to morderstwo Izrael. Przed Bechirem Dżemajelem, pomimo ścisłych powiązań z Izraelem, stało wiele starć, jakie musiałby stoczyć z Izraelczykami. Nie oddałby oni jemu rzeczywistej władzy, chyba że za cenę ciężkich i upokarzających warunków, które naraziłyby na szwank niepodległość Libanu. Izraelska zaciętość w dążeniu do wyciągnięcia profitów z militarnych rezultatów wojny, w dążeniu do zawarcia traktatu pokojowego, który pozwoliłby na narzucenie izraelskiej hegemonii Libanowi na długi okres czasu, jak również ujawnienie planów izraelskiej zmierzających do rozbitcia Libanu na mini-państwa wyznaniowe, wzbudziły niepokój w kręgach polityków chrześcijańskich, włącznie z zabitym prezydentem Bechirem Dżemajelem i skłoniły ich do ostrożności. Bechir Dżemajel sądził, że będzie mógł odrzucić warunki wysuwane przez Izrael. Lecz gwarancje amerykańskie, w które wierzył, nie miały poważnego charakteru i Izraelowi pozostawiono w Libanie wolną rękę.

W pierwszych godzinach po zabójstwie Bechira Dżemajela dla wszystkich Libańczyków stało się jasne, że za tę zbrodnię są odpowiedzialni Izraelczycy. Wątpliwości zostały rozproszone, gdy Izraelczycy dokonali inwazji zachodniego Bejrutu zaledwie rozeszła się wiadomość o śmierci prezydenta, tak jak gdyby byli już na to z góry przygotowani. Przekonanie o odpowiedzialności Izraela za tę zbrodnię umożliwiło się po tym, jak Izraelczycy oskarżyli partię Falangi o to, że ona rzekomo jest odpowiedzialna za ohydny masakrę palestyńskich i libańskich mieszkańców obozów. Izraelczycy usiłowali w ten sposób wznieść nastroje odwetowe przeciwko chrześcijanom w regionach o większości muzułmańskiej, celem usprawiedliwienia w ten sposób interwencji zbrojnej dokonywanej w Bejrucie wschodnim i w regionach góry Liban rzekomo po to, aby bronić chrześcijan. To właśnie pod pretekstem ochrony muzułmanów przed chrześcijanami Izraelczycy dokonali inwazji na Bejrut zachodni po zamordowaniu Bechira Dżemajela. Te rachuby zmierzały do narzucenia bezpośredniego panowania Izraela nad krajem na długi okres czasu, do narzucenia również prezydenta Republiki, który byłby marionetką w rękach Izraelczyków.

Lecz Izraelczycy zostali zaskoczeni trzema faktami, których nie oczekiwali, a jakie obalili ich plan. Po pierwsze, zaskoczył ich zacięty opór patriotów libańskich w Bejrucie zachodnim, który przekreślił rzekomo „ograniczony” charakter izraelskiej operacji skierowanej przeciwko zachodniemu Bejrutowi i wydobyl na światło dzienne poparcie udzielone tej operacji przez Waszyngton. Amerykanie zostali w ten sposób zmuszeni do zdystansowania się, w tej czy innej formie, od tej operacji. Ten opór dał libańskiej i międzynarodowej opinii publicznej możliwość rozwinięcia działań Wykorzystaliśmy tę okazję, aby pochylić uroczyście głowę w hołdzie przed bohaterami z szeregu naszej partii oraz innych sił patriotycznych, bohaterów obrony Bejrutu.

Po drugie, zaskoczył ich zasięg fali międzynarodowego potępienia po wstrząsającej masakrze. Oskarżycielski palec wskazał na Izrael i Stany Zjednoczone jako na odpowiedzialnych za tę masakrę. Oto dlaczego Amerykanie zdystansowali się, przynajmniej w słowach, od machinacji izraelskich.

Po trzecie, tym czego Izraelczycy oczekiwali najmniej, była reakcja narodu libańskiego, była jedność, do zmanifestowania której doszło z okazji wyboru Aminę Dżemajela, będąca wyrazem zespolenia wszystkich sił, które były świadome niebezpieczeństwa, jakim była okupacja izraelska (choć nie wszystkie siły dały wyraz tej świadomości w równie zdecydowanej formie, czy przy zastosowaniu tych samych metod). Siły islamskie i patriotyczne udzieliły poparcia Aminowi Dżemajelowi w imię jedności Libanu, jego niepodległości narodowej, suwerenności i wolności. I to miało decydujące znaczenie.

Oceniamy w sposób realistyczny i bez iluzji wolę, jaką przejawia nowy prezydent odnośnie stawienia czoła izraelskiemu nieprzyjacielowi. Przede wszystkim nie mamy złudzeń, jeśli idzie o polityczne możliwości prowadzenia walki. Lecz libańskie siły patriotyczne uczyniły z wyboru nowego prezydenta okazję do utworzenia jedności narodowej przeciwko izraelskiej okupacji, na rzecz obrony Libanu, jego suwerenności, wolności, demokratycznego charakteru, arabskiej tożsamości. Dlatego też nasza partia pozytywnie oceniła wybór A. Dżemajela i zaapelowała do przekształcenia tej jedności, która chwilowo zaistniała „na górze” wśród polityków i która zachowuje ciągle jeszcze charakter spontaniczny i powierzchowny, w jedność narodową rzeczywistą w oparciu o narodowy program zmierzający do wypędzenia okupanta i odzyskania naszej suwerenności i niepodległości. Dlatego należy oprzeć ją na silnej podstawie ludowej, która wymaga powszechnej narodowej zgody. Należy zakończyć ze starymi podziałami i stosować jedno kryterium podziału: na tych, którzy są za okupacją z jednej strony, i na tych, co są przeciwni — z drugiej!

Izraelczycy są bezpośrednio odpowiedzialni za masakrę popełnioną w obozach palestyńskich. Lecz według wszystkich dowodów, jakie udało się zebrać, materialnymi sprawcami są, jak się wydaje, ludzie należący do milicji Saad Haddada, jak również do sił Falangi, a przynajmniej do niektórych jej odłamów. Czy w imię zgody narodowej można zamykać oczy na odpowiedzialność, jaka spada na Falangę Libańską za tę masakrę?

— Bez wątpienia żołnierze Saad Haddada oraz niektórzy ludzie z Falangi brali udział w tej monstrualnej masakrze. Lecz Falanga Libańska, jej kierownictwo, nie było zainteresowane w tych aktach i w sposób kategoryczny zdementowało swój rzekomy udział w tych wydarzeniach. Udział w całej niektórych falangistów nie przekreśla całkowicie odpowiedzialności jaka spada na Izrael, lecz ją potwierdza. Ciał świat znalazł jeszcze za życia Bechira Dżemajela niektóre nazwiska falangistów, było ich może kilkaset osób, które zostały oddane do dyspozycji armii izraelskiej przez „Siły Libańskie” i brały udział w wszystkich brudnych akcjach po rozpoczęciu inwazji izraelskiej. Ci falangiści tworzą część armii izraelskiej, od nich otrzymują rozkazy i to ich polecenia wykonują.

Pomimo tego, prezydent Amin Dżemajel wydał polecenie odnośnie przeprowadzenia dochodzeń sądowych w sprawie masakry. Uważamy, że jest rzeczą konieczną odsłonięcie udziału Libańczyków w tych masakrach i zastosowanie wobec nich najwyższej kary. Byłoby to nie tylko zwycięstwem sprawiedliwości, lecz byłoby także gwarancją polityczną: należy wyeliminować agentów Izraela z Falangi i „Sił Libańskich”. Jest ich wielu i zajmują wewnątrz tych sił ważne stanowiska. Uczyni to wiarygodnym zamiar doprowadzenia do zakończenia okupacji izraelskiej i stworzy gwarancję dla samego osobistego bezpieczeństwa prezydenta Republiki oraz innych osobistości. Te siły będące w służbie Izraela chcą w istocie spróbować udaremnić nowemu prezydentowi sprawowanie jego władzy. Jego interes własny, lecz również interes kraju wymaga, aby zostali wykryci i osadzeni sprawcy masakry, co w niczym nie pomniejsza odpowiedzialności izraelskiej.

— Lewica libańska, zwłaszcza Libańska Partia Komunistyczna, przyjęła do wiadomości fakt wyboru Bechira Dżemajela i zamierzała odgrywać wobec niego rolę opozycji demokratycznej. Jaka z kolei postawa zajmie wobec nowego prezydenta Aminę Dżemajela? Czy sądzicie, że jest w tych warunkach możliwa zgoda narodo- i w jakich granicach?

— Nasza postawa wobec nowego prezydenta będzie uzależniona od stanowiska, jakie zajmie on wobec izraelskiej okupacji. Nasza partia oceniła w sposób pozytywny przemówienie wygłoszone przez prezydenta z okazji objęcia przez niego tego stanowiska. Uważamy, że zawarte są w nim stwierdzenia generalne, które mogą stanowić cenną podstawę porozumienia narodowego, podstawę do dalszego rozwijania i ukonkretniania programu likwidacji okupacji izraelskiej, ocalenia niepodległości kraju, jego jedności i wolności.

(...) My, komuniści, celem wzięcia udziału w realizacji porozumienia narodowego i zgody narodowej, celem udzielenia odpowiedzi na apel zmierzający do położenia kresu przemocy i rozlewowi krwi, proponujemy rozwiązanie starych struktur, które uosabiają miniony okres konfrontacji. Proponujemy również rozwiązanie obecnych struktur organizacyjnych Narodowego Ruchu Libańskiego (grupujący siły postępowe), rozwiązanie centralnych organów politycznych partii i sił patriotycznych oraz postępowych Libanu.

Z drugiej strony, proponujemy, aby został rozwiązany „Front Libański” (grupujący siły chrześcijańskie), aby zostały rozwiązane wszystkie bez wyjątku formacje policji, zarówno utworzone przez Siły Libańskie, jak i przez Falangę oraz Ruch Narodowy, a także przez Ruch AMAL (organizacja muzułmanów sycylickich). Uważamy, że porozumienie odnośnie zasad paktu porozumienia narodowego może nie tylko wytyczyć zasady działania rządu, lecz również wyznaczyć wspólne podstawy działalności rządu i opozycji demokratycznej. Przyjęcie takich zasad mogłoby pozwolić na zjednoczenie wszystkich sił wewnątrz kraju i poza nim, na sprzecywanie ram odpowiedzialności partii, sił ludowych, związkowych w walce z okupacją.

Synagoga w ogniu

Synagoga płonie w Wiedniu. Atak na synagogę w Paryżu. Drugi atak Nazwy ulic Kopernika i Rosier zostają już włączone do historii prześladowania Żydów. W Londynie pała ciężko ranny ambasador Izraela — Szlomo Argov. Teraz w Rzymie atak na synagogę właśnie w chwili, kiedy wierni onuszcza ją wraz z dziećmi. Europa wstrząsa ruchy antysemitki, wymierzone w niewinne cywilne osoby i dzieci, ofiary terroru. Izraelskie oskarżenia niezmiennie wymierzone są w Organizację Wyzwolenia Palestyny, a zamachowcy, których nigdy dotąd nie schwymano, ani nie zidentyfikowano, odróżniają się tylko „oliwkową cerą”, zauważaną przez świadków ich zbrodni tuż przed ich ucieczką.

Antysemityzm w różnych stolicach europejskich powraca z regularnością kalendarza politycznego, ale izraelskiego. Tak się składa, że z tych ataków antysemitki największe korzyści, zwłaszcza w wymiarze propagandowym, czerpie samo państwo syjonistyczne. Jest też faktem, że atak na ambasadora izraelskiego w Londynie dał pretekst do nawiązania na Liban. Po podpisaniu pierwszego zawieszenia broni między Izraelem i Palestyńczykami, wynegocjowanego za pośrednictwem USA i stolic arabskich, Izrael uważał jako pogwałcenie układu każdy atak na Żydów na świecie, gdziekolwiek nie miałyby miejsca. Atak ten nastąpił w Londynie. Wkrótce potem wojska izraelskie ruszyły do ataku na Liban, by ponownie ambasadora Szlomo Argova, który obecnie wychodzi ze szpitala. Zasięg tej zemsty i jej skutki są już dobrze znane.

Sledztwa, prowadzone w stolicach europejskich — Wiedniu, Paryżu, Londynie, nie dały jeszcze żadnych konkretnych rezultatów, choć warto przypomnieć, że w atakach na obiekty nieżydowskie łatwiej odnajdywano napastników. Tu zaś żadna sprawa nie została konkretnie wyjaśniona do końca, poza pewnymi poszlakami w Londynie, gdzie stwierdzono że atak dokonała grupa Abu Nidala. Te same poszlaki pojawiły się w atakach terrorystycznych we Francji. I — jak donosi biuletyn bejrucki THE MIDDLE EAST REPORTER — dają o sobie znać też w śledztwie prowadzonym w Rzymie.

Wypadnie przypomnieć, kim jest Abu Nidal. Dysydet z OWP, skazany przez te organizacje palestyńskie na śmierć, m. in. za dwa zamachy na życie Arafata. Abu Nidal oskarża OWP o ugodowość. Wysługiwał się wraz ze swą grupą wszystkim, kto miał porachunki z OWP. Raz był to Iran, innego razu Syria. Abu Nidal był gotowy na wszystkie rozkazy, dokonał wielu zamachów na Palestyńczyków.

Na ogół obiektywna prasa tuż po napisaniu pisał, że Abu Nidal jest obecnie wykonawcą rozkazów wojska izraelskiego — Mossadu. Ze ma powiązania z każdym, kto chce dokonać aktu terroru „reklamą arabskimi” albo jeszcze lepiej — palestyńskimi. Grupa Abu Nidala dokonała wielu morderstw na przedstawicielach OWP w Europie Zachodniej. Mierzono przede wszystkim w tych, którzy byli umiarkowani i opowiadali się za dialogiem palestyńsko-żydowskim. Osobnik ten, jak od dawna głosi OWP i prasa arabska, jest powiązany z wywiadem izraelskim. Dla izraelskiej ekipy przywódców syjonistycznych, największe niebezpieczeństwo stanowił właśnie Palestyńczyk umiarkowany. Podważał bowiem ten obraz propagandowy, przedstawiający Palestyńczyków jako „terrorystów”, którzy dają do wymordowania Żydów. Celem propagandy syjonistycznej jest właśnie przedstawianie Izraela i Żydów izraelskich i żyjących w diasporze, jako uciśnionych i zagrożonych. Zmuszanych do obrony mających prawo oskarżać cały świat o antysemityzm, o dążenie do ich zniszczenia. Taka zasłona defensywna jest potrzebna dla własnych, agresywnych i hezemonistycznych celów syjonistycznego państwa.

Dla wielu obserwatorów bliskowskich ekscesy antysemitki w Europie są po prostu prowokacjami izraelskimi dla własnych wykalulowanych interesów politycznych i propagandowych. Oto atak na synagogę w Rzymie daje okazję, by napisać na papię i prezydenta

Włoch, za to, że przyjeździ na audyencji Arafata. Jest to okazja, by terrorystów papieża, prasę i polityków włoskich. To usprawiedliwienie dla agresywnych manifestacji żydowskich w Rzymie, itd. Żydzi znów potrzebują obrony.

Obserwatorzy bliskowschodni tłumaczą też, dlaczego Izrael występujący tak energicznie w obronie życia i bezpieczeństwa Żydów na całym świecie, sięga po akty prowokacyjne, w których Żydzi padają ofiarami. Miśtycznym syjonizmem uważa owo, że dla dobra sprawy, usprawiedliwione jest poświęcenie w ofierze Żydów, ich bezpieczeństwa, a nawet życia. Wciąż przypomina się, że np. Mossad dokonywał aktów na synagogi w Bagdadzie na początku lat pięćdziesiątych, po to, aby wystraszyć Żydów irackich i zmusić ich do emigracji do Izraela. Sprawy tych prowokacji żyją do dziś w Izraelu. Żydzi palestyńscy w Cisjordanii podkreślają ze swej strony, że w czasie ataków fedajinów na obiekty izraelskie, gdy uprowadzali zakładników w ich późniejszej uwalnieniu w zamian za własnych jeńców, zakładnicy żydowskiej nie przeważnie od kul żołnierzy izraelskich. A w atakach nie dbano wcale o ich życie i bezpieczeństwo, jedynie o to, by zniszczyć swego przeciwnika. Bez względu na ofiary żydowskie.

Jak się tu podkreśla, uciekanie się przez Izrael do usług Abu Nidala jest częścią znanej taktyki syjonistycznej, wykorzystywania sytuacji prawdopodobnych i załatwiania swych spraw cudzymi reklamami. Oczywiście używa się do tego broni produkcji wschodnioeuropejskiej. Nikt zresztą by nie oczekiwał, że Mossad przyśle swych własnych strzelców wyborowych z karabinami UZI.

Przedstawicielstwo OWP w Rzymie, podobnie jak przedtem w Londynie i Paryżu potępilo ataki terrorystyczne, odcinając się od podobnych zbrodni. W OWP po obejrzeniu Bejrutu nastąpiły zmiany poważne, a bardzo dla Izraela niebezpieczne i niekorzystne. Nieprzebrane stanowisko odrzucenia dialektu palestyńsko-żydowskiego zaczęło ustępować przekonaniu, że własne rozmowy z Żydami postępowymi w Izraelu mogą pomóc sprawie palestyńskiej. OWP została do tego zachęcona zarówno poparciem dla sprawy palestyńskiej, manifestowanemu przy licznych okazjach przez światowych Żydów w Izraelu w czasie wojny jak przez osobiste kontakty w Bejrucie odwiedził Arafata, m.in. Uri Anneri. Wielkie wrażenie uczyniła na OWP masowa manifestacja Żydów przeciwko masakrom w obozach Sabra i Szatila. Manifestacja ta miała wyraźny skutek polityczny nakłaniając do wesołobrocy przeciwnikami rządu Begin.

Coraz częściej pokazują się oświadczenia palestyńskie używające takich słów jak bracia, bracia żydowskie, nie zwalczamy Żydów, tylko agresywną politykę syjonistyczną. Itd. Głoszą to już teraz — tak nieprzeznadnani kiedyś przywódcy, jak Nafef Hawatmeh z Demokratycznego Frontu Wyzwolenia Palestyny. Kontakty z postępowymi Żydami pozostały być już tabu i tak się oczekuje, będą się rozwijać. Popierali je od początku przedstawiciele OWP, tacy jak Issam Sartawi i inni. Była to taktyka znanej dziennikarki palestyńskiej w Nablus Raymondya Hawa Tamil, która od początku utrzymywała kontakty z Żydami i kiedyś była za to bardzo krytykowana i potępiana. Ta zmiana, w wyniku wojny i jej konsekwencji, jest w sumie dla skrajnego syjonizmu Begin bardzo niebezpieczna. On chciałby widzieć Palestyńczyków tylko jako krwawych terrorystów, morderców kobiet i dzieci. Ale wojna odwróciła też i te role.

Jeśli chodzi o atak na synagogę w Rzymie, Palestyńczycy odcięli się od niego energicznie. Zresztą jak twierdzą kole palestyńskie w Bejrucie, po co atakować Żydów w Rzymie, jeśli mamy przed sobą w Dolinie Bekaa izraelską machinę wojenną która jest naszym wrogiem a nie dziećmi żydowskimi w świątyni.

TADEUSZ JACKOWSKI (PAP)



Foto: CAF

Dwugłos o „Kaczucha show”

Estrada w kryzysie?

Festiwale piosenki nie obrodziły nam w tym roku. Estrada Łódzka postanowiła wypełnić te luki w naszej rozrywce i wystawiła... I Bezkartkowy Festiwal Kaczuch Filmopiosenek Miejsce festiwalu — Łódź, premiera w łódzkim Teatrze Rozmaitości.

Na scenie pozorny bałagan, jakieś skrzyżnię, szmatki w latki, telefony... ponoć elementy scenograficzne symbolizujące nasz kryzys. Na środku sceny wielkie jajo, ozdobione migającymi, kolorowymi lampkami i napis „Kaczuch show” Tego jeszcze nie było, choć swego czasu na tej samej scenie był podobny element dekoracyjny — wielka książka z napisem „SKO”, z której ja (nastoletni aktor wy-

chodziłem jako książkowy chochlik z czarodziejską różdżką. Tym razem z jaj wyszły dwie kaczki — dziewczynki i jeden kaczor — showman.

Rozpoznać można było: ANDRZEJA JANECKĄ i Siostry PIWONSKIE. O charakterze imprezy informował kolorowy transparent rozmieszczony pod reflektorami na scenie: I Bezkartkowy Festiwal Kaczuch Filmopiosenek w Wannas — Slums.

Festiwalowy nastrój tworzyła publiczność, która tłumnie wypełniła parter i balkon Teatru Rozmaitości. Pora na oficjalną prezentację wykonawców festiwalu: ANDRZEJA JANECKO (poeta-lachmyta, autor scenariusza programu, tekstów piosenek i muzyki, wokalista, gitarzysta, tancerz, aktor, parodysta, prezenter, showman).

MAJA PIWONSKA (I Kaczuszka, śpiewająca i tańcząca, sam urok, świeżość i wdzięk Prywatnie druga połowa Janeczki).

JOLANTA PIWONSKA (II Kaczuszka, siostra I, bardzo podobna, mniej znana z TV).

Góście programu: BARBARA WRZESIŃSKA (prosto z „Kabareciu” bez cła i rekompensat, za to w swojej najgłośniejszej telewizyjnej roli Panny Basienki).

ANDRZEJ ZAORSKI (reżyser całości, w show występujący w roli dyrektora firmy „Paramus Płkczerski”, ubrany w swój słynny biały frak i sandaiki).

Występują także: JANUSZ DZIUBIŃSKI jako udiór show.

ILONA ZDZIENICKA i ANNA HAMERNIK — dwuosobowy balet „Płaszyska”. Gra: 7-osobowy zespół muzyczny pod kier. ANDRZEJA ŻYLISA.

Premierowych piosenek było wiele ta pierwsza na otwarcie i jednocześnie finałowa nosi tytuł: „ŚWIĘTY SPOKOJ W REWII —

KACZUCH SZOŁ”.

Chciałbym spojrzeć teraz w głąb, choć po Korze mam miraż. Czy na sali czuwają gdzieś nasi dziennikarze. Profesja dobra — wery good, choć ma swoje wiraje, dlatego najlepiej być dziennikarzem. Kła kła — swój urok ma, Kła kła — to pewnie i ja. Jajeczko, Kaczuch show. Kła kła — na urok psa, Kła kła — drobitwa polna, a państwo klaszciecie nam.

A po niej już zawrotne tempo całego show, różnorodność repertuarowa, dobre lub wręcz kapitalne teksty Andrzeja Janeczki, wszystkie z podtekstem, pointą, oryginalne, niepowtarzalne.

On sam, to już nie student-piosenkarz z gitarą, ale showman estradowy w postaci poety-lachmyty, obiecywiata, taki co to wiele widział i przeżył, choć taki młody. Siostry Piwonskie grające, śpiewające, tańczące role Kaczuszek, były tak ładne że wcale ich nie przypomniały, to raczej labedzice. Cała trójka jest sympatyczna, o dużej swobodzie estradowej, nigdy nienatcz-

wa, nie robiąca oka do widzów, bezpretensjonalna.

A goście programu? Dwa wielkie nazwiska polskiego aktorstwa: Barbara Wrzesińska i Andrzej Zaorski. Są na pewno trochę inni niż na małym ekranie w tych samych lub podobnych rolach. I dobrze, że takimi się nam pokazują.

Zaorski jest uroczy, zabawny, elokwentny, zna prawa aktorstwa estradowego i widać, że świetnie się w nim porusza. Wrzesińska, znakomita aktorka o wprost nieograniczonych możliwościach i opinii, że może zagrać wszystko, tylko to potwierdza W „Kaczuch show” gra Pannę Basienkę, chyba po raz pierwszy na żywo, ale jak ona ja gra! Szkoda, że ma tylko jedno wyjście i na estradzie jest tak krótko.

Zespół muzyczny Andrzeja Żylisa gra na wysokim poziomie profesjonalnym, gra sporo, a można by go wykorzystać do estradowych gagów i pewnych akcji, zdaje się mieć ku temu predyspozycje.

Balecik, mimo starań obu pań, nie jest atrakcyjny, co jak na mój gust zbyt amatorski w tym co robi i jak to robi. Zdecydowanie bym go powiększył.

Upiór pana Dziubińskiego jest zabawny i w duecie z Barbarą Wrzesińska rzeczywiście więcej z niego estradowo-kryzysowa gro-

za. Ale najlepsze są „Kaczuchy”. Program „Kaczuch show” zrealizowany i filmowany przez Estradę Łódzką (brawa dla kierownika organizacyjnego Jarze-go Sobczaka) rozpoczął swój estradowy żywot...

BOGDAN GADOMSKI

Z czego się śmiejemy?

Dzielenie się z kimś drugim wrażeniami z imprezy rozrywkowej przypomina przekazywanie słowem doznań kulinarnych, żaden bowiem opis smaku potrawy nie zastąpi osobistej degustacji, po której jeden, lub może, właśnie z zachwytem, a inny skrzywni się z niesmakiem. Bo decydująca jest w znacznej mie-



Andrzej Janeczko i siostry Piwonskie. Foto: Tadeusz Koźmider

rze kwestia przyzwyczajenia i upodobań smakowych. Dobrze więc, że na pobliskich łamach ktoś inny serwuje Czytelnikom wybór dań, który zapewne ma przekonać tych, co w uczucie nie brali udziału, z jak smakowitych kasków składa się potrawa przyrządzona przez Estradę Łódzką.

Muszę wyznać, że zaobserwowałem, że podniebieniem znacznej części widowni zarówno te, jak i inne teksty oraz sposób ich podania przypadły do smaku bardziej niż mnie. Skoro się jednak siedziało na sali w roli „czuwającego dziennikarza” (patrz — tekst cytowanej piosenki), trudno było nie poezurwać się do oznawiania nad poziomem humoru nodaków: czy i w tych kryzysowych czasach zachowuje ono — po obu stronach rampy — dotychczasową reputację. Ale chociaż zastosowane miary będą z natury rzeczony subiektywne i choć wymienię dla przykładu (i dla równowagi i opinii sąsiada z tejże strony) to co mnie akurat nie śmieszyło, spróbuję jednak dociec — dlaczego były chwile, kiedy reagowałem, jak ponurak.

Dzięki programowi „Trzech wcieleń kaczuchy” mogłem się przekonać o tym, w jakich okolicznościach jest mi całkiem nie do śmiechu, oprócz okoliczności ściśle osobistych, jak ból zęba, zgubienie grubszej gotówki czy sytuacja zdradzonego kochanka — co poniekąd usprawiedliwia z utraty poczucia humoru. Zrobiłem małe odkrycie na użytek własny (na pewno nie jest ono oryginalne), że śmieszny mnie (mas?) dowcip, który choćby w

jakiejś części zbliżył jest z naszą oceną rzeczywistości — z prawdą sytuacyjną lub moralną. W przeciwnym razie dowcip nie „kontaktuje”. Nie inaczej nawet — wbrew pozorom — z „czarnym humorem”. Wyjawie więc samokrytycznie, kiedy nie „kontaktowałem”.

Nie rozbawił mnie tak niezawodny chwyt, jak kopanie łez, co prawda nie dosłowne, lecz w postaci zjadliwej pod adresem utalentowanego młodego artysty, który niedawno padł ofiarą okrucieństwa niekulturalnej publiczności i zaniechał scenicznych występów ze szkoda dla siebie i, co gorzko dla sztuki. Kto jak kto, ale artysty? Komu jak komu ale koledec z artystycznej branży? Za co jak za co, ale za poglądy!

Uczono mnie też kiedyś, że nie jest w dobrym tonie pokonywanie z nazwisk, podobnie jak z wszelkich cech „niezawinionych”. Sądzę, że tego rodzaju dowcipów bynajmniej nie ratuje intencja podworfowania sobie przy okazji z „Icków”, których już u nas nie ma. Mniemam, iż dziejowe okoliczności zniknięcia ich z naszego polska nie były humorystyczne...

Gdybym był urodzonym mal-kontentem, mającym z zasady czy usposobienia wszystko wszystkim „za złe”, wypomniłbym jeszcze dość niefrasobli-wie kalamburki, ale nie wypomnę, bo niechce mi się strzelać do nich z najgłębszej rury, a już rozjaśnia mi się mroczne spojrzenie przypomnienia „Panny Basienki, w wykonaniu Barbary Wrzesińskiej, stanowiącym majster-sztyk estradowego aktorstwa (oto co znaczy w tej trudnej dziedzinie rzetelny profesjonalizm), z satysfakcją też wspominał osobę dźwigającego ciężar przedstawi-

nia Andrzeja Janeczki, którego rzadki talent oby rozwijał wszystkie swoje możliwości w kabarecie z prawdziwego zdarzenia, narzucającym wykonawcy siłą dyscypliny artystycznej.

Zakładam też optymistycznie iż w słownych tekstach piosenek mogło być wiele momentów dowcipnych, które jednak nie zdążył sobie utworować drogi do uszu słuchaczy, zagłuszone przez, skądinąd sprawny, zespół instrumentalny. Ponadto wrodzona muzykalność wydaje się mocną stroną większości wykonawców zauważalna zwłaszcza w duetach, tercetach i bo-daj innych formach zespołowych.

Myślę, że dobrego kabaretu wszyscyśmy spragnieni, a jaki powinien być, jakim walorami się odznaczać, wszystkiego tu nie wyliczę, tak wiele bowiem się składa na to (jakże frapująca i godna respektu postać scenicznej rozrywki). Sądzę, że dzisiaj, w dobie utrzymujących się napęd i obciążań, podkopujących kondycję psychiczną społeczeństwa, potrzeba nam przede wszystkim, ożywczego, wyzwalającego śmiechu z samych siebie — z naszej zbiorowej podatności na zwodnicze nieraz hasła, skłonności do ulegania urojeniom i mitom, najwymownym emocjom i histerycznym reakcjom. Chyba więc kabaret okrutnie zdradził wydzier-czy wobec znaków powzrochnego samouwieblenia i chyba ta droga współwzrostu klimat rzeczywiście, nielatego pojed-

Bez pobudzającego do głębszej refleksji tekstu i bez solidnego warsztatu wykonawczego daleko się nie ujedzie, nawet przy aplauzie, o który nie tak trudno.

JERZY KWIECIŃSKI

Kabaret to słowo magiczne. Na temat tej formy dyskutuje się często od wielu lat. Rzeczywiście w sztuce estradowej ten specyficzny gatunek nie ma odpowiednika i, chociaż daje się zauważyć wzajemne przenikanie gatunków scenicznych, pozostaje jedynym w swoim rodzaju. Starł z rozrastaniem się wspomnianą przedwojenną sceną kabaretową — zmieniając się nazwy warszawskich kabaretów, dla których pisał Julian Tuwim, Andrzej Włost, Antoni Stankowski, Jan Lechoń i liczni inni przedstawiciele kabaretowej bohemy lat 20-tych i 30-tych naszego stulecia, zawierają w sobie coś z legendy. Uświadomiłem sobie to raz jeszcze czytając wydaną niedawno książeczkę również ujętą w przedwojennego polskiego kabaretu — Kazimierza Krzkowskiego. No! ona mała nieso mójcy tytuł: „Mała antologia kabaretu”. A jest to gruncie rzeczy dość osobisty wybór tekstów wy-głaszanych w warszawskich teatrzykach przed wojną i — przede wszystkim — garścią ciekawych wspomnień o atmosferze pracy artystów kabaretowych czyż o ludziach, którzy robili kabaret.

Kabaret jest magnesem. Nie na darmo kilkanaście lat temu podczas opolskich festiwali setki ludzi odchodziły od kas z przyszłowiowym kwitkiem — bo bilety na autentyczny przebieg każdej z festiwalowych imprez — „Maraton Kabaretowy” — były już dawno wyprzedane. Przeglądając wartykiły firy z kilku poprzednich lat odbywania się „Opole”, można stwierdzić bez przesady, że festiwal „Maratonem” stał. Toż, gdy później zrezygnowano z różnych względów z tradycyjnego „Kabaretu” (bo i tak nazywano ten koncert), przez szereg lat podnosiły się głosy w sprawie przywrócenia do łask piosenki kabaretowej i dania jej równych praw z utworami typowo estradowymi, że jakie uważa się za „normalne”, bezpretensjonalne czy też kiczowate, piosenki. Rok temu wrócił na estradę Festiwal Piosenek Polskiej „Maraton Kabaretowy”, ale tylko raz, bowiem w roku bieżącym... festiwal w ogóle się nie odbył.

Kabaret jest bardzo „wymagająca” forma. Oczywiście, istnieje możliwość skonstruowania widowiska autorskiego, które opierać się będzie li tylko na tekstach eliminując kosztowną oprawę sceniczną. Ale nie wszystkich to satysfakcjonuje. Od paru lat własne oblicze miał telewizyjny kabaret Ogi Lipińskiego, który miał na przestrzeni wielu miesięcy różne hasła wywołujące. Dzisiaj Telewizja Polska serwuje nam powtórki z tamtych lat. Widac z nich jasno, że oblicze kabaretu tworzyli przede wszystkim znakomici aktorzy oraz ciekawy materiał (szczególnie do osiągnięcia jedynie na małym ekranie), zaś warstwa scenariuszowa-tekstowa była dość nierówna i często przedstawiała spór do zyczenia. Zupełnie inaczej było w najlepszych polskich powojennych kabaretach korzystających ze szkieletu sceny, gdzie możliwość tworzenia widowiska były daleko bardziej ograniczone, ale pomysł ogólny pomysł. Nazw tych kabaretów było sporo — o ile wiem, dzisiaj nie działa żaden.

Kabaret to klucz. Organizatorzy imprez estradowych, kierownicy działów koncertowych w przedsiębiorstwach zajmujących się rozrywką, kol-

Kabaret contra Cabernet

portersy biśtów, wszyscy oni wiedzą doskonale, że nie na składankę oni koncert jakiejś tam w miarę popularnej piosenkarce, ale właśnie na kabaret publiczności wali, jak w dym. Afisz wolający „kabaret” jest gwarancją opłacalności trasy. Chociaż przyznać trzeba, że przy obecnej drożyznie jest chodzący o bilety na imprezy estradowe, publiczność, zwłaszcza na tak zwanej prowincji, oczekuje czegoś więcej. Toteż od pewnego czasu ładen z samujących się — tu potrzebny byłby cudzysłów, — lecz nie chciałem wprowadzać dwuznaczności — kabaretów nie jedzi w Polskę bez streaptaś'u zwanego swojsko striptizem czyli po prostu rozbiórka w wykonaniu mniej lub bardziej urodzivej panienki. Zresztą ich pomysły na przyciągnięcie widowni nie jest nowy: w gastronomii rozrzucają z niego od wielu już lat, a i podczas imprez estradowych te pięć minut na pole też się przyjęło. Kłopoty zaczynają się wówczas, gdy impreza odbywa się — na przykład — w niedzielę o dwunastej w południe i na widowni zasiadają całe rodziny wraz z dziećmi. Ale jak na razie organizatorzy jakos sobie radzą. W końcu — ich sprawa.

Kabaret — wbrew pozorom — nie jest łatwym chlebem dla jego współtwórców. Nie tak dawno u agenta, na „Kolumnie ajencyjnej”, opublikowałem krótki wierszyk, frazję — można powiedzieć, „O tym, który chciał zrobić kabaret”. Zgodnie z zawartą w nim pointą, najlepszym kabaretem jest życie. Codzienną dopisuje do kabaretowego scenariusza dni dzisiejszych coraz to nowe rozdziały i dlatego trudno jest nie podawać się tej falli. Stąd też współczesna polska scena kabaretowa — jeśli u ogółu można o takiej mówić — jest dosyć jednostronna w podejmowaniu tematyki. Nawet mimo ingerencji cenzury, wystarczy niekto-re z bieżących zaobserwowanych przez nas, zwykłych obywateli, spraw przedstawić tak, jak wygładają one naprawdę, aby całość zabrzmiała śmiesznie, groteskowo, choć często tragicznie. Chwytano z dzisiejszych

czasach takich spraw niemal w locie (bo wszystko szybko się dezaktualizuje) i adaptowanie ich jako pomysłu na scenę kabaretową nie jest z sobą różne niebezpieczeństwo. Przed wszystkim ona łatwość wymyśleć od dawna „spółczesnym wentyłem”. Kabaret, a którym myślę, to droga, którą schodzi się na łatwiznę, w wyniku czego większość funkcjonujących aktualnie na terenie kraju kabaretów jest do siebie bliźniaczko podobna. A szkoda. Tak, tak — życie toczy się szybciej niż potencjalni twórcy pokolenia potrafią je zamknąć w reguły kabaretowe. Napiszę dzisiaj dobry utwór dla kabaretu jest również trudno jak przygotować tekst nowej, a oryginalnej, piosenki żołnierskiej i tu, i tu należy się wystrzegać wtórnej śmieszności, której ojcem jest banal.

Jaki ma być współczesny kabaret. Kabaret Polaka lat osiemdziesiątych? Najpierw jedno zastrzeżenie: Kabaret jest takim gatunkiem, o który nie wolno pytać „jaki ma być” — po prostu niech istnieje i niech się rozwija. Ale nie wyłącznie w jednym kierunku, bo już stał się monotematyczny. Różnymi drogami, jakie daje posiadanie literackiego warsztatu, autorzy w zakresie tematyki podają po najmniejszej linii oporu, co staje się nie dłuższą ręką — zwalaszca, gdy jest możliwość obejrzenia kilku programów — niższe. Jak długo można się zaśmiewać z tego, że ktoś nie zjadł na obiad tego, co chciałby zjeść, a zjadł to kto inny? Czy rzeczywistość nośnikami humoru w kabarecie mają być — już dawno skompromitowane fakty — że ktoś brzydki się nazywa lub ma za duże uszy? Spotkałem się ostatnio w polskich kabaretach objeżdżających kraj z takimi właśnie tekstami. Powiem wprost — tekstami temującymi, bo świdującymi o niedowładzie artystycznym widła osób.

Dla kabaretu nie ma proroków. I ja nie mam żadnych pretensji aby nim być. Gdybym miał genialną receptę na kabaret, już dziś byłbym w tej dziedzinie najlepszym w kraju. Ale nie mam. Równocześnie jednak uważam, że obowiązują pewne poczucie wartości kabaretowego dowcipu — wszystko, co leży poniżej poziomu przeciętnej naliży po prostu wyrzucić, bo w przeciwnym razie traci to pokazywaniem polego tylko ku rozmięszleniu gawiedzi. A to, w zupełności innych celach, robi z widzieliem striptisem — po co wteć dwa grybki w baraszk.

Gdybym miał do wyboru: dobry kabaret lub wino „Cabernet” — wybrałbym to pierwsze. Skoro o dobry kabaret jest trudno, pozostaje mi tylko czarne wino, którego też dziś nie można dostać. Ale o tym przecieć wszyscy doskonale wemy, więc czy rzeczywistość trzeba ten fakt rozpruć z kabaretową sceną.

KRZYSZTOF DRZEWIECKI

W Kolumbii ma się ukazać antologia dramatu polskiego. Będzie to bardzo szeroka prezentacja naszego dorobku dramatopisarskiego. Znajdź się w niej Witkacy, Gombrowicz, Mrozek, Różewicz, ale także Broszkiewicz, Grochowiak, Iredyński, Iwaszkiewicz, Krasinski, Kruczkowski i Skowroński.

Teatr Polski w Warszawie 21 października wystąpił z nową premierą. Jan Bratkowski wyreżyserował „Terrorystów” Ireneusza Iredyńskiego. Jest to już trzecia sztuka tego autora, reżyserowana przez Jana Bratkowskiego. W spektaklu grają m. in. Halina Mikołajska, Marek Barbasiewicz, Wojciech Alaborski, Andrzej Szczepkowski. Autorem scenografii jest Krzysztof Pankiewicz, a kostiumy zaprojektowała Maria Teresa Jankowska.

W minioną niedzielę na Małym Scenie Teatru im. Stefana Jaracza odbyła się polska premiera sztuki Bolesława Leśmiana „Zdżuczenie obywateli pośmiertnych”. Ten dramat jest nieodkrytym utworem, uratowanym z pożogi wojennej przez żonę i córkę poety, a przywiezionym w roku 1980 z Nowego Jorku przez Michała Sprusińskiego. Osobami dramatu są: On, Ona i Ta Trzecia. Spektakl reżyseruje Bohdan Hussakowski, scenografię przygotował Grzegorz Małecki, muzykę — Andrzej Zarzycki, choreografię — Ewa Wycichowska. W przedstawieniu udział biorą: Lidia Dudań, Bożena Rogalska i Marek Kalita.

W listopadzie, z gościnnymi występami przebywać będzie w Łodzi wrocławski kabaret „Elita”. Wśród wykonawców zobaczymy: Jana Kaczmarska, Andrzeja Walińskiego, Jerzego Skoczylasa, Leszka Niedzielskiego, Włodzimierza Plaskotę, Stanisława Szolca, Leszka Wójtowicza i Krzysztofa Jaroszyńskiego.

W dniach 28—30 października 1982 r. trwa w Łodzi III Festiwal Muzyki Rockowej „ROCKOWISKO 82”. Tradycyjnie już imprezę tę organizują: Polskie Stowarzyszenie Jazzowe — Delegatura w Łodzi, Łódzka Rozlegatna Polskiego Radia oraz Centrum Kultury Włóknarzy „Dąbrowa”.

Od 10 lat Towarzystwo Przyjaciół Łodzi organizuje przed Świętem Zmarłym wieczory poświęcone pamięci zasłużonych łodzian. Kolejny taki wieczór odbył się w miniony poniedziałek w Muzeum Historii Miasta Łodzi i poświęcony był łódzkim aktorom. Program nosił tytuł: „Cieniom sceny łódzkiej”.

Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne w Łodzi przygotowało kolejną wystawę numizmatyczną pod nazwą „Wczesnośredniowieczne skarby srebrne z Polski”. Będzie ona niebawem eksponowana w Muzeum Morawskim, w Brnie.

Albin przygłął czołem do szyby i długo patrzył w umykającą ciemność. Dłonie przydrożnych drzew przemyciły się po szybie i po jego twarzy. Naparzył się, wzrok odwrócił. Następnie jakoś tak bezmyślnie zmierzwił ręką swoje siwe, długie włosy, przez co jeszcze bardziej się nastroszyły i nadały mu jakiś dziwny, sepi wyraz. Wszyscy czekali, co jeszcze powie. — „Ktoregoś dnia w naszym tramwaju doznałem wzmrożonego uczucia przemijania. Jadę, patrzę przez okno na świat i widzę: nowy dom wznoszą, wysoki, wielopiętrowy, paradny; zboże dojrzewa; jedzie wiejskie wesele... Innego dnia widzę, że wiatr zwalił stare drzewo, spróchniałe, martwe; na maszt wciągają flagę (jakaś historyczna rocznica się zbliża); idzie kondukt żałobny; rozbiierają stary dom... Ile to już przeminięło, ile to już poza mną. Nigdy już tego nie przeżyję po raz drugi. Dwie elegantiści śmiały się cicho, oszczędnie, jakby jeden śmiech dzieliły między siebie. Mężczyzna z piłą zachowywał niewzruszoną powagę, nie słuchał, nie widział z czego ten śmiech, z coraz większą czułością spogląda na piłę. — Ty już to mówiłeś — przypomniał pasażer w ortalionie. — O, już chyba z dziesięć razy — dodał drugi. — Co najmniej. — Wy, panowie, mieliście szczęście słyszeć. — O, tak, szczęście! Nie będziemy zaprzeczać. — Szczęście jak cholera! — dodał drugi i zachichotał.

JÓZEF STANISŁAW KMIĘCIAK

Pasażer

— Trochę czasu nam zajęło — siewnął czegwonolnicy konduktor i pogrzebał ręką w torbie pełnej bilonu. Albin jeszcze przez chwilę spoglądał po ich twarzach. Jakby badał szczerłość ich uśmiechów.

— To ja zaraz opowiem coś jeszcze! Pray okazał. Jednego razu chciałem się wybrać w podróż z moimi pięknymi siostrami. W dłuższą okazję. Tacy jesteście zasiedzieli — mówię do nich. Ale one nie mogły zdecydować. Do Warszawy to nie — postanowili zgodnie — żeby tak nad morze, to tak, ale do Warszawy — nie, nie! Może nie śmiały?... — Teraz to co innego — powiedział konduktor bez związku.

Tramwaj przedko zbliżał się do przystanku. Dwie eleganckie panie szykowały się do wyjścia.

— Nie zmyślam, tak było — zapewnił Albin. — Z czasem stały się podejrziwe. A ja nie, mnie zawsze ciągnęło do świata. Im bliżej ludzi, tym lepiej. Ja z całą szczerością...

Tramwaj zwolnił i zneruchomiał. Wszyscy w milczeniu i napięciu patrzyli na dwie pasażerki. Podniosły się z godnością, lekko uniosły swoje żurnalowe torebki i wysiadły nie spojrzawszy na nikogo. Nastrój w tramwaju nagle zubożał.

Albin pomyślał chwilę, rozważył i wrzasnął budząc w tramwaju niemale popioch:

— Sauve qui peut!
— Nie krzyż — zadrżał pasażer w kurtce.
— Nie drzyj mordy... — szepnął drugi i od-ruchowo rozpiął płaszcz, który kiedyś niewątpliwie był elegancki.

— Nie, sympatyczne — rzecze Albin spokojnie — bardzo sympatyczne.
— Nie bądź zły na takie ładne kobiety — prosi mężczyzna w ortalionie.

— Albin, słyszysz? — dodał ten w szarym płaszczu.

Albin nie odpowiedział, zamyślił się, pochylił nisko głowę, czoło oparł na wzniesionej ręce, pozlepiane długie kosmyki włosów opadły mu na czoło. Przejeżdżający obok samochód smagnął światłami okna wagonu. Albin drgnął. Zajrzał w szybę wystraszoną wzrokiem. Uśmiechnął się wyrozumiale i znów zapadł w drętwo. Brodacz dalej niewzruszenie czyta książkę. Pochłoneńca go, omamila. Tramwaj nagle hurtnął mocniej na spójeniu szyn. Piła zachybotowała się i wydała cichy, żalony jęk, mężczyzna przytułił ją mocniej. W tym samym momencie obudziła się Handlarka.

— Ło...je! — westchnęła boleśnie. Dwaj mężczyźni uśmiechnęli się do niej wspólnie.

Dziewczyna znowu odnalazła swoje odbicie w szybce powleczonej nocą. Przygląda się sobie z wyraźną przyjemnością.

Do niej nieśmiało podszedł Albin.
— Usiąde sobie tu... Na chwilę. Jeszcze rądy pani nie spotkałem. A pani mnie zna?

— Z widzenia — odpowiedziała śmiało.
— Tak tak z widzenia! Wie pani, ja bardzo lubię młodzież. Na młodych patrzę z podziwem, bez kompleksów. Tyle urodził! Ja też kiedyś byłem młody, proszę pani, i nie chwałę się, byłem bardzo przystojny, proszę mi wierzyć.

— Wierzę panu.
— I do tej pory zachowałem w sobie ten pierwiastek młodości!

— To dobrze — pochwałała.
— Miłość, proszę pani, to jest... to jest wielka rzecz!

Dziewczyna przedko pokiwiała głową.
— To to wszystkie sztuki piękne naraz! — krzyczy. — Zdrowie i czystość powietrza, wszystkie najdoszłe zapachy i smaki! Ja tak mówię! A niektórzy nawet nie potrafia odczuwać miłości. To straszna ukłonność!

Handlarka szepnęła z bojaźnią:
— Ale oraw!...

Dwaj mężczyźni promieniają. Ich śmiech już stał się trochę samodzielny. Chwilami chichoczą bez żadnego powodu.

— Ty miałeś tych kobiet w swoim życiu — mówi pierwszy z podziwem.

— Ile z grubsza? — pyta drugi. — Tylko powiedz prawdę. Nie ujmuj sobie.

Albin spojrział na nich przez ramie.

— Pękajcie panowie, pękajcie! Na zdrowie! Małżeństwo z bukietem astrów siedzi cicho, w odosobnieniu. Albin popatrzył na nich z daleka, uśmiechnął się uszczęśliwiony i przedko wzrok spuścił, jakby się bał, że za moment spłoszy otaczającą ich ciszę.

Po niedługiej chwili ponownie spojrzął za siebie. Dwaj pasażerowie niecierpliwie czekali na dalsze zdarzenia, na nowe podniety.

— Proszę pana, ile ta piła ma zębów? — zapytał z powagą.

— Nie wiem, nie liczyłem! — odrzekł mężczyzna gniewnie.

— A to szkoda, bo gdyby pan policzył, wiedziałby pan o jedną rzecz więcej. Z takiego liczenia można stać się mądrzejszym.

Po namyśle odpowiedział:
— A nie wygląda pan na takiego, co to wie za wiele.

I zaraz zwrócił się do Handlarki:
— Jak tam dzisiaj interesy, szanowna pani?

— Jak Bóg doł — odpowiedziała wymijająco.

— O tak, z Bogiem sprawa nielutwa! Sama mądrość przez panią mówi. Unika pani jasnych odpowiedzi, kategoriycznych. Bo gdyby pani, zażożny, odpowiedziała: dobrze lub: pierwszorzędnie, to zaraz mogłoby się coś popłatać i byłoby źle, albo wręcz fatalnie. Ja to znam.

Mam swoje doświadczenie, swoją wiedzę o życiu. Ja też nigdy nie mogłem sobie z tym poradzić: jak tylko spotkała mnie jakaś pomyslnosc, to zaraz wpadałem w euforie. Rozpowiadałem, chwaliłem się, chciałem, żeby cały świat o tym wiedział i tym się radował. No i szczęście zaczęło omijać mnie z daleka. Umiar, umiar przede wszystkim, to cała sztuka życia. Stoika mądrość! Handlarka kiwa głową ze zrozumieniem czy bez zrozumienia: minę ma niepewną.

— Raz, pamiętam, pomogłem pani dźwigać kosze.

— A przebie ja Albinowi zara dałem dychę! — wykrzyknęła.

— Ciszę, proszę pani! — rozgniewał się — przecież nie o pieniądzu mi chodziło.

Tramwaj zmierzania dalej przez noc w kierunku miasteczka A.

Albin znów spojrział na pasażera z piłą i powiedział z namysłem:

— Taak, taka piła to jest dobry instrument. Taką piłą to można niezmiernie ciekawie rzeczy robić.

— Zamknij mordę, kretynie! — warknął nagle właściciel piły. — Wara ci ode mnie, półgłówku! Za robotę lepiej się weź! Ludzie tyrają, każdy się stara jak może, nocy człowiek nie dośpi, żeby to jakoś jedno z drugim się kleiło, żeby się biedzie nie dać, a taki nycus cholerny chodzi i głupoty pieprzy, ludziom tylko w głowach mać! Piśniesz jeszcze słowko na mój temat to cię uduszę, lachudro, brudasie cholerny. Mnie na zęby wziął, patrzcie go. Wyrzutek!

Inteligent z książką poderwał się z fotela.
— Dlaczego pan mu ubliża?! Co on z tego powiedział?

— Ja nie do pana!
— Ale ja też słyszałem!

— Nie prosilem, żeby pan słuchał! Obrońca się znalazł, cholera! Takich jak on — wskazał na Albina — nie trzeba bronić, takiego to ja bym... Krew by go zalała! Jeszcze raz mi coś takiego powiesz, to już ja cię urządzę!

— Piła go! — wykrzyknął pasażer w płaszczu szarym jak znoszona onuczka.

— Tacy ludzie to plaga! — upiera się właściciel piły. Obrócił twarz w stronę okna i szepnął: — Sukinsyn!

— No wlecie państwo — Brodacz rozejrział się po wagonie, szukał wsparcia w swoim oburzeniu. Usiadł zagniewany i trochę wyczerpany protestem.

— Ja nie znam tego człowieka — powiedział cicho Albin. Miał minę winowajcy i próbował się uśmiechnąć. Ale uśmiech jakoś nie chciał się trzymać jego wynędzniałej i strapionej twarzy.

— Nie róbcie harmideru — uspokaja konduktor. — Cicho ludzie. Ja pracuję!

— Albin nie jest jakimś chuliganem — wtracił mężczyzna w ortalionie. — Gdyby, dajmy na to, Albin za dużo rozrabiał albo co, to ja sam byłbym nie lepszy. A ja na przykład lubię go postuchać.

— I na ogół niegłupio gada — dodał jego towarzyszy. — I zawsze ma coś do powiedzenia. Czasem to nawet nijako jest bez Albina.

Brodacz spojrzaniem dał im do zrozumienia, że podziela ich zdanie. Albin słucha z ciekawością, jakby to nie o nim toczyła się rozmowa. Dziewczyna przybrała wygląd wystraszonej sarny: słucha pilnie, czujnie spogląda po twarzach. Małżonkowie zamarli w oczekiwaniu. Ona wtuliła twarz w kwiaty, on zerka za siebie i zaraz uśmiecha się uspokajająco: nieoczekiwana awantura trochę zakłóciła harmonię ich podróży.

(Fragment opowiadania z tomu „Nocny tramwaj”, który ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego)

Opowieść o ładzie utraconym

PAWEŁ STRZELECKI

Ludzie chcą się śmiać. W kinie. Na dobrych komediach. Nie da się ukryć, że jest to jakaś metoda na rzeczywistość. Swoiste katharsis — choć przez dwie godziny przeżył chwilę bez troskiej zabawy, zapominając o tym, co na zewnątrz.

Częściowo przynajmniej próbowano zaspokoić to pragnienie reanimując zasłużonego kanoniera Dolasa. Nieoczekiwanie stało się to, czego można było... oczekiwać. Film „Jak rozpetaliśmy II wojnę światową” (ile to już lat?) przez dwa tygodnie niepodzielnie królował na ekranach „wizytówkowego” kina, jaklin jest w Łodzi: Iwanowo, gromadząc na wieczornych seansach komplet publiczności.

Niezaspokojona potrzeba śmiechu przygłąła też sporo ludzi na premierowy polski film — „Konopielkę” — Witolda Leszczyńskiego. Tylko czy ci, którzy przyszli do kina obejrząc bez troską komedię wiejską, po prostu się nie pomylili?

Pozostał mit raczej, niż pamięć fabularnych szczegółów czy językowej egzotyki po wielkim przeboju literackim sezonu 1973 — „Konopielce” Edwarda Redlińskiego. Nagroda „Kultury”, masowe wydania, uznanie krytyki, wzięcie u czytającej publiczności i nieodparcie narzucające się dziś przekonanie, że musiała to być „śmieszna” książka. Tamte sukcesy, choć owiane mgłą zapomnianej legendy, stanowiły niezłą reklamę filmu. Kinoman; — przynajmniej ci przyglądający się polskiej prozie — dali się skusić.

Pozostaje niezgłębiona tajemnicą decydentów, dlaczego nie wyrażono zgody na ekranizację powieści w chwili największego jej powodzenia. Scenariusz, zatwierdzony przez Naczelny Zarząd Kinematografii był gotowy, lecz odczono go na półki. Może w czasach rozbudzonej wiary w zachodnią cywilizacyjność, grzeźbny wizerunek polskiej wsi, nie pasował do hurra-optimistycznego obrazu naszej współczesności lat siedemdziesiątych, prezentowanego przez oficjalną propagandę.

A zatem jest tak, jak jest. W dziewięć lat po pierwszym wydaniu, filmowa premiera. I ludzie pamiętający, że powinno być „do śmiechu”. I ludzie rozczarowani po wyjściu z kina.

Naprawdę śmiesznych scen jest w „Konopielce” niewiele: wielki „dziadowski” wykład Franciszka Pieczki o szatanie, który dominuje nad światem czy dyskusja jaką wiedzie Kaziuk (Krzysztof Majchrzak) ze swoim synem, na temat krągłości kuli ziemskiej. Kaziuk, stojący na środku wiejskiego podwórka, z miną pełną niedowierzania, do syna: „Ale przecież tu płasko, wszędzie płasko, aż po horyzont”. Nawet w tych scenach próbo- no by szukać lubianych przez publiczność gagów sytuacyjnych. Uśmiech raczej, niż śmiech wywołuje zabawny tekst znakomicie harmonizujący z gestami, mimiką — mówiąc ogólnie grą — przekazujących go aktorów.

Widzowie, którzy ponad wszystko wyznają abstrakcyjny śmiech dla śmiechu Marty Feldmana czy Mel Broksa nie mogą czuć się usatysfakcjonowani. Drażni ich naiwność i prostota przesłanego spotkania Kaziuka z Bogiem i Małką Boską, liryzm i godność intymnego wyznania Handzi (Anna Seniuk): „znową zaciężyła”, dramatyzm pokonywania obyczajowych tabu czy symbolicznej, a zarazem przejmująco tragicznej finału.

Zapominając przecież, że w kulturze ludowej granica między śmiesznością a wzniosłością jest często trudna do wykreślenia. W najbardziej przejmującej dla mnie scenie filmu — Kaziuk, analfabeta tłumaczy synowi sens narysowanych przez siebie na śniegu znaków — mających uchodzić za pismo — używanych przez kulturalnych i wykształconych ludzi stamiąd, zza bagien. Czyta zatem: „Ja Kaziuk, moja żona to Handzia, mamy troje dzieci, mamy krowę, konia, psa”. Latwo ośmiemy nasze- go bohatera. Śnieżne gryzmoły nie mają nic wspólnego z normalnym alfabetem, ale nawet uczona „uczycielka” (jak nazywają ją mieszkańcy Taplar) nie śmie ironicznie uwaga przerwać Kaziukowego monologu. Ona, goniona za udziałami świata, porażona zostaje oczywistością prawd najprostszyc, najważniejszych, których wcale nie trzeba wyrażać na piśmie. Sers ludzkemu istnieniu nadają: miłość i praca — materializujące się w posiadaniu rodziny — żony i dzieci oraz, własnymi rękami ukształtowanego, gospodarstwa.

„Uczycielka” (Joanna Sienkiewicz), pojawiająca się na zafananej białostockiej (?) wsi na początku lat pięćdziesiątych (?), gdzie ludzie wierzą w konopielki-strzygi siedzące nago w konopkach, „kuszące ciekawskich do wejścia w gąszcz, by zalać- kodać ich na śmierć”, gdzie jest się drewnianymi „łyżkami ze wspólnej miski, a żyto kosi sierpem, przynosi ze sobą nie- spokojny powiew cywilizacyjnej nowości. Fascynacji, graniczącej z przestachem, ulega Kaziuk. Atrakcyjnej inności trudno się oprzeć. Bohater wydaje walkę miejscowym „przesądom”: „obała mit o złotym koniu, ścina rodzinne święte drzewo, próbuje zakazanego seksu”. Ale kiedy przeciwstawia się wiekowej tradycji żniwnej i zamiast sierpa, używa do zbioru żyta kosy, staje przeciwko niemu cała wieś. Ceną postępu jest ostre kosy wymierzonej w brata, wierzącego w pradawny obyczaj. Piękne, rozłożyste drzewo, które pojawiło się na początku filmu, plonie. Witold Leszczyński: „To jakby rajske drzewo. Film jest opowieścią o rajcu utraconym, albo (...) o ładzie utraconym”.



Ciało (1) pełne tajemnic

Prasa — nie tylko polska, światowa również — pełna jest doniesień o przypadkach niezwykłych uzdrowień i o nowych (bądź przeciwnie: bardzo starych, lecz zapomnianych) metodach leczenia. Publikując dwa kolejne artykuły red. Waldemara Uchmana, który przez wiele lat zajmował się tą

tematyką na łamach łódzkiego „Expressu Ilustrowanego”, nie szukamy wszelako taniej sensacji, przeciwnie, chcemy sprowokować poważną dyskusję, w której oby zabrały głos również medyczne autorytety. Cierpiący, ciężko chorzy ludzie zawsze będą bowiem szukać pomocy i choć niekiedy mogą

trafić w ręce szarlatanów i oszustów, w wielu innych wiarygodnie potwierdzonych przypadkach — znajdą tę pomoc rzeczywiście.

Miejmy więc przynajmniej odwagę stawiania pytań, nawet wówczas, gdy nie umiemy na nie jeszcze udzielić odpowiedzi.

Nie, proszę do mnie nie telefonować. Nie emanuje uzdrowicielskich biopłądów, nie znam zbyt dobrze tajemnic różdżki i wahadełka, a gdy ktoś w nocy budzi mnie dzwonkiem telefonu pytając jaką pozycję BSM ma zastosować, aby zasnąć — potrafię być nawet opryskliwy. Jednak przy tych wszystkich zastrzeżeniach mogę stwierdzić, że pośrednio moje pióro i łamy łódzkiej populudniówki „Express Ilustrowany” pewnie liczbie cierpiących przyniosły ulgę w chorobie...

Żaden uzdrowiciel nie potrafi powiedzieć: ty, a tyli ludziom pomogłem, tyli zaś innym moje zabiegi nie przyniosły ulgi. Gdy ktoś zostanie nagle przywrócony zdrowemu życiu uznaje, że uzdrawiacz po prostu spełnił swą powinność, nie ma więc o czym mówić. A kiedy zabiegi nie powiodły się, też nie będzie przecież pisał listów z pretensjami — żaden uzdrowiciel nie daje gwarancji.

Koleżanka po piórze błagała o pomoc: lekarze uznali, że jedynym wyjściem jest już tylko operacja, a ona bardzo się boi stracić rękę. Może więc Uchnast zdoła ją uratować? Wyjaśniłem, że mgr Uchnast, odkrywca najmłodniejszej obecnie metody samoleczenia, w domu chorych nie przyjmuje, a żadnego gabinetu nie posiada. W drodze wyjątku zgodził się jednak wyłożyć dziennikarce przez telefon zasadę ułożenia dłoni w III pozycji — leczącej ręce. Gdy w dowód wdzięczności obiecywała koniak, poinformowałem ją, że nie piję, ale wymogłem też obietnicę, iż przysła informację jak moje „złote uzdrawianie” poskutkowało. Do dziś obietnicy nie dotrzymała...

A to wcale nie jest pięknośmiewem, że dla prawdziwego uzdrowiciela, jakim jest E. Uchnast czy S. Nardelli (o którym później opowiem więcej), jedyną zapłatą jest radość wyleczonego człowieka. Organizowałem już sporo spotkań z chorymi i mogę zapewnić, że uzdrowiciele — ci prawdziwi — z żelazną konsekwencją przestrzegają zasady nieprzyjmowania jakichkolwiek honorariów — w gotówce czy choćby w postaci koniaku. Dlatego apeluję do pacjentów: nie zapominajcie o przesłaniu informacji swemu uzdrowicielowi.

Wiele osób pyta mnie: czy pan wierzy w te wszystkie opowieści o cudownych uzdrowieniach? Np. poprzez dotknięcie przez kogoś emanującego niezwykle biopłądami. A w metodzie mgra Uchnasta sprawa jest jeszcze mniej prawdopodobna — zakłada ona, że każdy może leczyć niemalże wieszak — samego siebie, własnymi biopładami, poprzez przyłożenie dłoni we właściwym miejscu na głowie.

Czy w to wierzę? Ja po prostu widziałem rzeczy, które zapierają dech. Oto sładka przed Uchnastem dziecko bodaj 4-letnie, które od urodzenia jeszcze nigdy nie zdołało wyprostować rączki, gdyż cierpi na wrodzony przykurcz. Matka objęła oczywiście wszystkich specjalistów w kraju, zanim przeczytała w „Expressie” wiadomość o spotkaniu z twórcą metody BSM. Mgr Uchnast pokazuje matce, jak trzymać przez 20 minut rękę na głowie dziecka i odchodzi do następnego cierpiącego. Po 20 minutach wraca i spokojny o efekt zwraca się do dziecka: podnieś rączkę w górę. I dziecko rękę podnosi! Rozpromieniona matka wybiega z sali zapominając podziękować. Przyznaję, że właśnie w takich momentach czuję się po trochu współautorem „cudu”. A jest ich znacznie więcej.

Niestrudzona w gromadzeniu dokumentacji o niezwykłych metodach leczenia, redaktorka z Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia — Magda Olczyk, została przez swą centralę upoważniona do zaproszenia mgra Uchnasta przed mikrofony „Lata z Radiem”. Jadąc do stolicy zabrała ze sobą stopy taśm z entuzjastycznymi wypowiedziami stosujących BSM. Odtworzyła oczywiście tylko ich część, ale na zakończenie dała nagrany wykrzyknik pewnej lekarki, która obserwowała efekty zabiegów leczniczych: „ja jednak w to nie wierzę!”

Było to uczciwe zaprezentowanie głosu sceptyka, choć mgr Uchnast uznał, że chciano w ten sposób podważyć jego metodę. Przed kilku dniami red. Olczyk odtworzyła mi nagrany wypowiedź tej samej lekarki. Stwierdza ona, że z powodzeniem stosuje BSM w coraz liczniejszych przypadkach chorobowych. A także aktywnie działa w pierwszym w kraju kole BSM, zawiązanym właśnie podczas spotkania czytelników „Expressu Ilustrowanego” z mgr Uchnastem. Twórcą BSM teraz zapewne w pełni docenił sztuki dziennikarski dziewczyny z mikrofonem, która będzie mogła zaprezentować na antenie głos „nawróconej”, a raczej, przekonanej.

Trzeba zresztą uczciwie przyznać, iż takich sceptycznych głosów słyszało się i słyszy nadal sporo. Gdy w czerwcu br. przeprowadzając wywiad z mgr Uchnastem zapytałem, jak sobie wyobraża przyszłość BSM, ze sceptycyzmem zanotowałem jego odpowiedź: lekarze na rejonach będą przepisywali stosowanie odpowiedniej pozycji BSM zamiast z miejsca truć pacjentów lekami czy nawet kierować na zabiegi „Marzenia wynalazcy”, chciałem wówczas zatytułować ten fragment wywiadu. Mój rozmówca przedstawił mi wizję z charakterystycznym mu bezwzględny przekonaniem o racji, gdy mowa o skuteczności jego metody samoleczenia. Ale nawet temu nie przeszło przez myśl, iż przyjmując zaproszenie do Łodzi już po dwóch miesiącach otrzyma kolejną propozycję redakcji — aby patronował lekarzom pragnącym w zamkniętym kole specjalistów zgłębiać tajniki jego metody. Oczywiście propozycję z miejsca przyjął i od tego czasu co miesiąc spotyka się z około 200 lekarzami, felczerami i studentami medycyny dyskutującą przeróżne zagadnienia medyczne.

Twórcą metody samoleczenia, o którym kręci się dwa filmy (nie licząc zapisów Kroniki Filmowej), prezentuje audycje radiowe i przygotowuje telewizyjną, zamieszcza cykle artykułów i zapraszany jest na przyjazd do wielu miast, przez 8 lat mozolnie przecierał sobie ten szlak

Aż do chwili wizyty w Łodzi, która stała się dla niego ważnym punktem etapowym.

Twórcą, a raczej odkrywca BSM, czyli Bioemanacyjnego Sprzężenia z Mózgiem, z wykształcenia prawnik i historyk, nie usiłuje wznawiać, że jest lekarzem. Przeciwnie, bezustannie podkreśla rangę zawodu lekarskiego. Zaleca w poważniejszych przypadkach konsultacje ze specjalistą przed rozpoczęciem kuracji metodą BSM wymagającą odstawienia leków i innych metod leczenia. Łączenie ich może powodować przykre sensacje. Jednocześnie jednak od lat argumentuje, że jego metoda może przynieść medycynie nieocenioną pomoc w diagnozowaniu. Po przyłożeniu ręki w odpowiedni sposób reagują bowiem wyłącznie organy chore, zdrowe pozostają obojętne. BSM może też ociążyć lekarzy od nawalu pacjentów z drobnymi dolegliwościami. Kto pozna właściwe pozycje sam zaleczy sobie dżiasto, spowoduje zagojenie rany, zlikwiduje nerwoból, poprawi szwankujący wzrok, zlikwiduje arytmie serca, wyleczy katar czy migrenę. Długo można tak wyliczać.

W spisie treści swej książki o BSM mgr

Jak zostałem uzdrowicielem...

Uchnast wymienia przeszło 80 jednostek chorobowych, które leczył z pozytywnymi efektami. Są wśród nich choroby i przypadki najstraszsze, takie przy których tradycyjna medycyna okazuje się bezsilna. Są tam także zawarte szczegółowe wskazówki i zalecenia. Wiemy to jednak wyłącznie z relacji autora. Rękopis książki powierzył bowiem niezbyt sumiennemu wydawcy. Już od wczesnej wiosny, gdy książka miała trafić do czytelników, termin odkładany jest z miesiąca na miesiąc. M.in. za pośrednictwem radia przez Centrali „Różdżkarz” Łuczak zapewnił, że najpóźniej we wrześniu książka będzie gotowa. Jedyną pociechą z tego nie dotrzymanego słowa jest to, że przez wpadł we własną pułapkę. Uzgodził mianowicie z autorem, iż wydrukuje tyle egzemplarzy, ile otrzyma zamówień za zaliczeniem pocztowym. Do księgarni bowiem książka nie trafi, będzie wysyłana jedynie za pośrednictwem poczty. W maju tych zamówień było kilka tysięcy, od czerwca zapanowała moda na BSM i posypały się zamówienia na książkę. Podobno jest już ich tyle, że w „Różdżkarzu” stracono rachubę i już zdecydowano się podnieść nakład do 30.000 egz. A ponieważ obietnica prezesa, że wydrukuje tyle, ile będzie zamówień obowiązuje nadal, zainteresowanym podajemy adres: Poznań, „Różdżkarz”, ul. Zbąszyńska 28. Wysyłać tylko listy polecane, zapłata za książkę — po otrzymaniu.

Tak więc na książkę przyjdzie jeszcze poczekać. Na razie poprzestajmy na przyjęciu do wiadomości stwierdzeń zasłyszanych bezpośrednio od autora. Nie ukrywa on, że już przed nim znane były metody leczenia poprzez przyłożenie rąk do głowy. W książce cytuje przykład tzw. królewskiego dotyku, którym władcy uzdrawiali poddanych. Po sformułowaniu swej metody leczenia mgr Uchnast dopatrzył się nawet, na pewnej średniowiecznej rycinie uwieczniającej moment takiego leczenia przez władcę, iż to wcale nie władca leczy, ale mnich, który stoi za każdym chorym i trzyma dłoń na jego głowie w pozycji, jaką mgr Uchnast nazwał „pozycją piątą”. Leczy ona różne organy wewnętrzne ciała, m.in. przywraca słuch.

Pozycję takich mgr Uchnast opracował osiem. Dotychczas ostatnia — ósma uratowała już niejedno dziecko od operacji. Pozycja ta leczy wyłącznie oczy. Na liście są omamy wzrokowe, przyklejenie siatkówki, poruszenie odchyłonego oka, powstrzymanie mętnienia płynu wewnątrzgałkowego oraz likwidowanie dokuczliwych bólów głowy, których geniza tkwi w chorobie oka. Przede wszystkim jednak w pozycji tej likwidowany jest zez, zarówno wrodzony jak i nabyty.

Podczas ostatniego zebrania Zarządu Koła BSM pewna łódzka lekarka zaprezentowała zebranym medykem 6,5-letnią Małgosię leczoną od wielu lat z zezą i astygmatyzmu. Mama Małgosi opowiedziała o tym, jak kolejno prowadzą córceczkę od dwu łódzkich specjalistów,

aż wreszcie trafiła do pewnej sławy okulistycznej w Krakowie. Po kilku wizytach w Krakowie zrozpaczona matka usłyszała, iż jedynym ratunkiem dla Małgosi jest już tylko operacja. Zgodziła się więc na wyznaczenie terminu. Nim jednak nadszedł wyznaczony dzień dowiedziała się z gazety, że pozycja nr VIII leczy zez. Zaczęła ją więc stosować. Początkowo — jak relacjonowała lekarzom — wydawało jej się nawet, iż nastąpiło pewne pogorszenie, ale później dostrzegła wyraźną poprawę. Kiedy zaś w uzgodnionym terminie operacji pojechała z córką do Krakowa usłyszała: po co tu jakakolwiek operacja? Matka wyznała lekarzom, iż opuszczając gabinet nie ośmieliła się wyjawiać profesorowi, że owo cudowne uleczenie córki osiągnęła trzymając rękę na głowie w VIII pozycji BSM.

Zainteresowanym rodzicom z miejsca przekazujemy istotną uwagę owej matki: bardzo ważna jest systematyczność w leczeniu. Czasem zez u dzieci mijają już po 20 minutach trzymania dłoni w pozycji VIII — widzieliśmy to podczas spotkań E. Uchnasta z chorymi. Owa matka trzymała jednak dłoń na głowie dziec-

ka 20 minut po kilka razy dziennie przez parę tygodni. A czasem, jak stwierdza mgr Uchnast, leczenie — np. przestarzałych ran — trwa nawet kilka miesięcy. Sporo osób natomiast li czy na natychmiastowe i cudowne uzdrowienie już po kilku minutach. Bywają i takie przypadki, ale lekarze — podczas zebrania Zarządu Koła BSM nie ukrywają, że czasem całymi tygodniami eksperymentują nim dostrzegają efekt. Większość z nich uważa, iż zbyt mało jeszcze znają tę metodę, aby stosować ją wobec ogółu pacjentów. Pewna lekarka zaczęła od siebie, gdy stwierdziła, iż zachorowała na półpasiec, a wiedziała, że mgr Uchnast leczył tę chorobę stosując II pozycję. I rzeczywiście — w ciągu 10 dni pozbyła się bez leków tej przykrej dolegliwości.

BSM to nie żadne czary — zapewnił mi w pierwszej rozmowie mgr Uchnast. To jest zwyczajne zjawisko, które można wyjaśnić jasno i prosto. I wyjaśnia: biofizyczna metoda samoleczenia i leczenia polega na wyrównywaniu zachwianej w wyniku chorób i uszkodzeń homeostazy czyli równowagi wewnętrznej organizmu poprzez bioemanacyjne sprzężenie zwrotne. Osiągamy je trzymając przez pewien czas ręce lub rękę na czaszce, nad odpowiednimi ośrodkami mózgu. Leczyć możemy sami siebie, lub też ktoś inny może przykładać rękę na głowie chorej osoby, nawet zwierzęcia. Nie są tu potrzebne żadne niezwykle zdolności, ani np. koncentracja leczącego i leczonego. Wystarczy ułożenie dłoni, a nawet nadgarstka nad odpowiednim ośrodkiem mózgu z dokładnością do pół centymetra. Ułożoną dłoń musi przylegać do powierzchni głowy jak plaster. W zależności od rodzaju leczonej choroby zabieg taki musi trwać 10 do 25 minut.

Proste? Dla kogoś kto zajmuje się zagadnieniami psychotroniki to co mówi mgr Uchnast nie brzmi jak cytaty z opowiadania fantastycznego. Już w 1974 roku Prezydium Rady Najwyższej RFSRR nadało Siemionowi Kirilanowi tytuł Zasłużonego Odkrywcy właśnie za badania biopłądów. Od tego czasu zarówno w krajach Wschodu jak i Zachodu badania posunęły się daleko do przodu. Określenia bioemanacja nie znajdujemy jednak nawet w najnowszych opracowaniach.

Ze względu na różne określenia tego zjawiska, np. biopole prof. Sedlaka, efekt Kirilana, bioelektryczność — uznano za potrzebne wprowadzenie własnego terminu: bioemanacja — stwierdza mgr Uchnast. I wyjaśnia: — Określenie to oznacza wszelkie rodzaje promieniowań wydzielanych przez żywe organizmy, zarówno tych już nam znanych, jak i jeszcze nie znanych. W sprzężeniu zwrotnym między położoną na głowie ręką a mózgiem zachodzi wyrównywanie bilansu energetycznego w tych ośrodkach, w których niedobór „energii” wywołany jest atakiem chorobowym. Tym właśnie można tłumaczyć, iż na pozycję BSM reagują wyłącznie chore organy. Jeśli np. zastosujemy pozycję VII podczas zaziębienia, wó-

wczas nastąpią niezwykle silne poty, a gorączka w ciągu nocy spadnie nawet o 18 kreszek. Jeśli jednak nie będziemy zaziębieni, trzymanie dłoni w VII pozycji nie wywoła żadnej reakcji.

Moda na uzdrowicieli i uzdrawianie tłumaczona jest na przeróżne sposoby. Nie brak argumentów wywodzących zainteresowanie „cudownymi” środkami leczenia z naszej sytuacji kryzysowej. Oczywiście, jeśli coraz aktualniejsze staje się porzekadło „trzeba mieć dobre zdrowie, aby chorować”, kiedy do okulisty trzeba zapisywać się na kilka miesięcy naprzód, gdyż na kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców jest dwu lub trzech, a z tego jeden na wrople zaś drugi chory to nie trudno zrozumieć ludzi szukających ratunku „bocznymi drogami” — z pominięciem przychodni i szpitali, gdzie często pacjentka traktuje się jak dokuczliwego intruza. Powinny wreszcie zmusić do zastanowienia alarmujące wyniki uzyskane przez socjologów; iż zaledwie co piąty pacjent ma poczucie pełnego, właściwego kontaktu z lekarzem. A jednocześnie wciąż pozostaje w sferze eksperymentów i rozważań spełnienie postulatu pacjentów, aby mogli dowolnie wybierać sobie lekarza. Takiego, który ich rozumie, wysłucha, nie będzie traktował chorego jak automatu, któremu obojętny jest końcowy efekt rozwiązanego przez niego zadania.

Wszystkie te i różne inne argumenty mające świadczyć o przyczynach kryzysu medycyny w naszym kraju nasiliły nasze zainteresowanie niekonwencjonalnymi metodami leczenia. Ale w krajach, gdzie nie notuje się podobnych do naszych zjawisk kryzysowych uzdrowicielstwo zatacza jeszcze szersze kręgi niż w Polsce. Według ostatnich danych w USA w 50 szkołach medycznych i pielęgnarskich wykłada się „dotyk uzdrowicielski”. Już tysiące Amerykanów przeszły teoretyczne i praktyczne przeszkolenie, po którym potrafia diagnozować choroby pacjentów przesuwając nad nimi dłoń, a następnie uzdrawiać dotykiem.

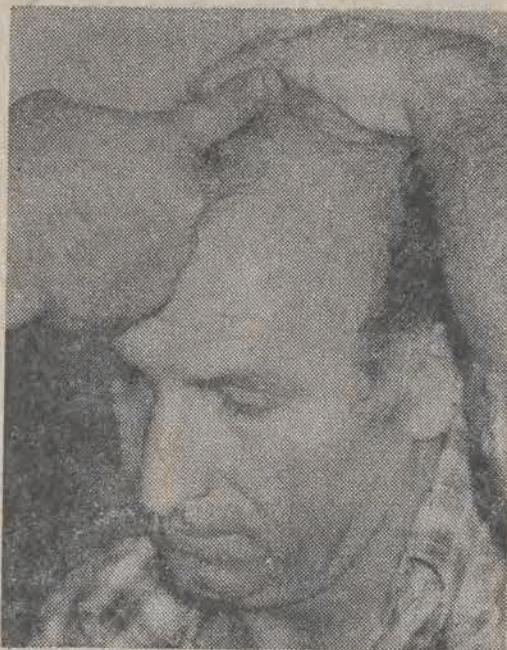
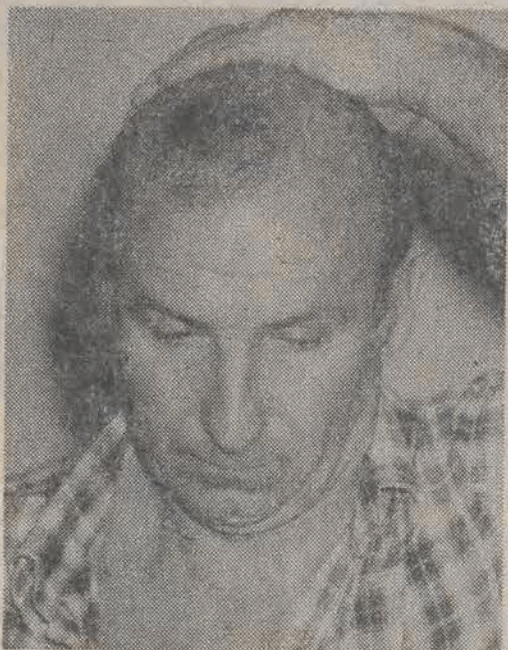
Propagatorka tej metody dr Dolores Krieger twierdzi, że moc uzdrawiania posiada każda zdrowa osoba. Udawadnia to organizując własnie owe kursy. Podobnego zdania jest najsłynniejszy obecnie w Polsce bioenergoterapeuta mgr Stanisław Nardelli ze Śląska Opolskiego. Twierdzi on, iż bardzo wiele osób mogłoby tak jak on uzdrawiać poprzez przekazywanie pacjentowi swoich biopłądów. Nie uświadomiamy sobie jednak tej niezwyklej mocy, tak jak i on przeżył prawie pół wieku zanim, leżąc ciężko chory, nagle dowiedział się, że przywrócił zdrowie osobie, która trzymała za rękę. P. Nardelli wspomina, iż od tego czasu zaczął ukradkiem wypróbować na najcięższych chorych swa niezwykłą umiejętność. Okazało się, to i dla niego zbawienne, gdyż przez jakies sprzężenie zwrotne sam też zaczął zdrowieć.

Stanisław Nardelli przyrównuje utratę sił podczas kilkunastominutowego sesansu terapeutycznego do wysiłku jaki górnik wkłada w przepracowanie dniówki pod ziemią. A ponieważ seans dla jednej osoby wyczerpuje go niemal tak samo jak dla tysiąca jednocześnie, więc obecnie eksperymentuje uzdrawiając zbiorowo. Czyny to pod ścisłą kontrolą lekarzy, nie tylko dlatego, że zajmują się jedynie przypadkami najcięższymi. Chce także pozostawić po sobie — jak mówi — dokumentację dla swych następców. Upowszechnieniu doświadczeń jakie gromadzi, a także zgłębianiu dalszych tajemnic, ma służyć ogólnopolskie centrum badań nad bioenergoterapią o jakie zabiega wraz z grupą naukowców pasjonujących się tym zagadnieniem.

Poznanie tajemnic naszego ciała staje się frapującym dla coraz większej ilości osób. Chcą nauczyć się wsłuchiwać we własny organizm, rzuciają swe zmysły, aby choć w części panować nad ciałem tak, jak panowali nad nim ludzie z niektórych dawnych kultur.

Z wielkim trudem zdobywa sobie prawo obywatelstwa w naszej medycynie akupunktura stosowana gdzie indziej od tysięcy lat. Inne niekonwencjonalne metody leczenia i samoleczenia opatrzone są, tak jak czasem nadal akupunktura, etykieta „nienaukowe”. Nie jest sprawą dziennikarza wydawanie sądów o sprawach z kręgu ludzi Eskulapa. Prawem dziennikarza jest jednak prezentowanie zjawisk, poglądów i pasji ludzkich, nawet jeśli nie mieszczą się w konwencjonalnych ramach. Wkrótce postaramy się więc zaprezentować działania innych „uzdrowicieli” działających w Polsce, mniej lub bardziej oficjalnie.

WALDEMAR UCHMAN



Na koniec wyjaśnienie: na zdjęciach pokazujemy ułożenie dłoni w pozycji II, leczącej m.in. dolegliwości i uszkodzenia mięśni, układu kostnego i naskórka. W tej pozycji trzymamy dłoń chcąc zniwelować bóle kręgosłupa i reumatyczne, tak dolegliwości właśnie jesienią. Komu nie wystarczy ilustracja, ten szczegółowy opis tej pozycji znajdzie w zapowiedzianej książce mgra Uchnasta, którą jeszcze może zamówić, albo — w skróconej formie — w łódzkim „Expressie”.

W kręgu fantastyki

8 Na lądowisku było około dziesięciu wirołotów. Sven rzucił się do malego, dwumiejscowego, ale Henry zatrzymał go.

— A jeśli oni żyją i trzeba ich będzie szybko tu przetransportować?

Thompson nie sprzeciwił się i pobiegł do wielkiego, dziesięciomiejscowego wirołotu, wrzucił do środka blastery, po czym sami zajęli miejsca. Sven zajął jeszcze do środka przedziału bagażowego, sprawdzając, czy miotacz ognia są na miejscu. Lecieć w selwę bez nich byłoby rzeczą absolutnie nie do pomyślenia.

Sven ostro poderwał maszynę. Kopuła Centralnej Stacji uciekała w bok, zamigotały białymi płytkami pochłaniacze energii. Po minucie zniknęły ostatnie plamy jaskrawzielonych parków i ciemne punkciki domków osiedla. W dole rozpościerała się selwa.

— Henry — powiedział Sven. — Połącz się z Centralną. Trzeba zawczasu wszystko skontrolować.

— Dobrze. Nik! Jak mnie słyszysz? Odbiór. — Znakomicie — odpowiedział głos Trajkowa. — Jak tam u was? Wszystko w porządku? — Wszystko w normie — i dodał zwracając się do Thompsona — łączność działa. Sven... Nik! Będzie wywoływał Centralną co dwadzieścia minut, tak jak było umówione.

— W porządku.

Z góry selwa wydawała się jednorodna: posępne skupisko brudnozielonej roślinności. Tylko na mgnienie oka, gdzieś tam, można było domyślić się nieśmiały obłasków rzek i jezior. Okolica była równinna. Na Pustelniku w ogóle nie było dużych gór.

„Gdzie nie spojrzeć, wszędzie selwa! — Wirt wzruszył ramionami. — A jeśli selwa wedrze się do którejś z baz? Strach pomyśleć. Dzikie rozpasanie wyjątkowo żywotnych, ohydnych roślin — pełzaków i świat zwierzęcy, który ma tylko jeden cel — pożerać. Żadne blastery nie tu nie pomogą. Straszna ta selwa. Ale dopóki na bazach działają systemy bezpieczeństwa — jest niegroźna. Wszystko może się popsuć, ale nie system ochrony!”

Henry kątem oka zerknął na prędkościomierz. Świecąca linia doszła do końca skali. Obaj milczeli. Sven gorliwie porównywał okolicę z mapą. Henry myślał o swoich sprawach. Nie chciał wierzyć, że z jego Oza coś się stało.

Minęło dwadzieścia minut od startu, gdy Wirt wezwał Centralną.

— Nik, jak mnie słyszysz? — Wspaniale. Dlaczego tak szybko mówisz? Coś się stało?

— U nas wszystko w porządku. A u was? — Eri! dopiero co mówił ze sztabu — Nikołaj starannie rozciągał słowa. Jego głos brzmiał nisko i ochryple. — Ery i Jumma można dalej nie szukać. Ich już nie ma.

— Jak to? — On nic więcej nie powiedział. — Nic, Nik? — Nic.

— Masz taki głos, Nik. Zachrypnięty, aż mrówki chodzą po skórze.

I znów w dole jednostajna, brudnozielona selwa.

Sven spojrzął na Wirta.

— Za godzinę, o ile wszystko dobrze pójdzie, zobaczymy bazę numer dwa. Ilu tam było ludzi?

— Tam? Czworo! — odparł Henry i Thompson zrozumiął, że niepotrzebnie powiedział „było” — Oza, Witczek, Jurgens i Stap. Jest ich tam czworo.

— Nie umiem, pocieszać, Henry.

— Dziękuję, tak lepiej... Czy wszystkie bazy straciły łączność równocześnie, czy nie? — Może i niepełnie jednocześnie. Przecież Eva nie od razu wróciła do głównego pulpitu. Dużo mogło się zdarzyć w ciągu tych minut.

— A może to selwa? — Na wszystkich bazach równocześnie? Trudno to sobie nawet wyobrazić!

Minęło jeszcze dwadzieścia minut. Wirt wezwał Centralną.

— Nik, jak mnie słyszysz? — W odpowiedzi rozległo się niskie, ochryple ryczenie. W gardle Trajkowa coś burzyło się i bulgotało.

— Nikola! Co się stało? Co się stało? Ryk powoli cichł.

— Sven, rozumiesz coś z tego? — Wracam! — Pytam, czy coś z tego rozumiesz?

WIKTOR KOŁUPAJEW

Huśtawka Pustelnika

— Coś się tam u nich stało, Henry. Trzeba wracać.

— Tu ze wszystkim jest coś nie w porządku. Nie będziemy wracać! Rozumiesz mnie Sven? Wszystko zrozumiałeś. Prawda?

— Ja wracam.

— Została niecała godzina. Dowiemy się, co zaszło w drugiej bazie.

— A jeśli tych troje w Centralnej potrzebuje naszej pomocy? — Rób jak chcesz — Wirt z rezygnacją odchylił się w fotelu.

Wirołot wykonał ostry wiraz.

— Henry, weź się w garść do diabła! — ryknął Sven. — I spróbuj doprowadzić łączność do porządku!

— Spróbuję — bez przekonania, szepem odpowiedział Wirt.

Centralna nie odpowiadała na sygnały wywoławca. Ryk i głuchy łoskot momentami przerywane były okresami względnej ciszy. Sven i Henry, w milczeniu wsłuchiwał się w dziwne, niezrozumiałe dźwięki.

9 Eri! znów wszedł do sztabu i starając się nie patrzeć na te dwa fotele, rozstawił lampy tak, aby w miarę równomiernie oświetlały całą powierzchnię. Potem opracował sobie plan działania. Najpierw postanowił wyjaśnić, co się stało z automatycznymi systemami, potem obejrzeć zespoły pamięci zewnętrznej komputera i urządzenia pomocnicze. Oględzinami szcztaków dwóch uczonych postanowił zakończyć badania w tym pomieszczeniu.

W czasie oględzin wykrył, że kanały wentylacyjne są całkiem zniszczone, a sprężarki zamieniły się w stertę złomu. Przewodu elektrycznego nie mógł znaleźć, ale wszystkie wyłączniki i kontakty okazały się niezdatne do użytku. Masa plastyczna połamała się, styki pokrywała gruba warstwa korozji. Nie było sensu nawet podejmować prób uruchomienia czegośkolwiek; od jednego dotknięcia rozsypywały się gumowe węże, kable i urządzenia. Zupełnie jakby jakaś zaraza, jakaś choroba padła na materiały, z których sporządzone były przybo-

ry i mechanizmy. Tylko ściany i podłoga wykonane z termoodpornego, niemal wiecznego i praktycznie niezniszczalnego tworzywa sztucznego, wydawały się tak samo nowe.

Dźwignie urządzeń nie przekreślały się, klawisze nie dawały się wcisnąć lub, wręcz przeciwnie, zapadały się od najłżejszego dotknięcia i już nie wracały do położenia wyjściowego.

Nic nie zostało z papierowych taśm samopłisów. Bębny pamięciowe komputera skorodowały, a taśmy magnetyczne zamieniły się w proszek. Nie zachowały się żadne nośniki informacji.

Eri! ostrożnie przechodził od jednego urządzenia do drugiego, starając się niczego nie potrącić, ale i tak co chwila coś z łomotem spadało na podłogę zamieniając się w szarą kupkę pyłu lub nieforemne kawały masy plastycznej i przerdzewiałego metalu.

A jednak w tym chaosie zniekształconych, okaleczonych, martwych urządzeń i przedmiotów dało się zauważyć jakąś prawidłowość. Równik planety przebiegał dokładnie przez środek pomieszczenia i wszystko, co znajdowało się w bezpośredniej bliskości tej umownej linii rozsypywało się w pył częścią niż przedmioty znajdujące się pod ścianami.

— Śmierć zaczęła się od równika — mruknął Eri! sam do siebie.

Następnie wszedł w ogromną podkowę pulpitu sterującego, zatrzymał się przy fotelu, na którym, być może, siedział Filip Ezra. W chwili śmierci niewątpliwie siedział. Świadczy o tym położenie szkieletu. Ale czas nie oszczędził i jego: czaszka patrzyła teraz pustymi oczodołami spod odrapanej poręczy fotela. Eri! postać nad nim około minuty...

— Przykra historia — mruknął.

Spróbował wyobrazić sobie, co mógł robić Filip Ezra, kiedy dopadła go śmierć. Które klawisze naciskał? O czym myślał? Co chciał zrobić? A Edwin Jumm? O czym rozmawiali przed śmiercią? Co oznacza słowo „huśtawka”?

W wyniku oględzin Eri! nie doszedł do żadnych wniosków. Ery i Jumma nie ma już wśród żywych. Wszystko, co znajdowało się w pomieszczeniu głównego pulpitu sterującego nie nadawało się do użytku, rozsypało się, rozpadło. Natomiast nie wiadomo dlaczego tak się stało. Epidemia? Ale dlaczego tylko tu, w kopule Centralnej? I jaki to ma związek z linią równika?

Zaraz, skąd przyszło mu do głowy, że to zdarzyło się tylko w sztabie? Dlatego, że pierścień korytarza nie uległ zniszczeniu? Ależ tam nie ma nic. Przecież i w pomieszczeniu głównego pulpitu podłoga też wyglądała jak nowa.

Eri! wyszedł na korytarz i zaczął go uważnie oglądać.

Gdyby nie to, że specjalnie szukał, z całą pewnością nie zauważyłby niczego, tak jaknie spostrzegł przedtem. Tak, na ścianach korytarza znalazł kilka pęknięć. To pękła plastikowa wykładzina ścian.

Eri! otworzył okno na korytarzu. Chciał zobaczyć, co jest tam, na ziemi, na tej wyobrażonej linii równika, ale dachy Centralnej Stacji ciągnęły się na kilkaset metrów we wszyst-

kie strony, a na ziemi, z powodu odległości nie mógł niczego rozróżnić. Co prawda po dachach przebiegało jakby ciemne pasmo.

Jakaś prawidłowość niewątpliwie istnieje, ale tymczasem nie było o co zaczepić.

— Eri! — wezwał go Trajkow. — Miałem łączność z Wirtem. Co jeszcze udało ci się wyjaśnić?

— Tu wszystko jest w rozrypcie. Ile czasu lecieliście? — Dwanaście dni — zdziwionym głosem odpowiedział Trajkow.

— A co będzie, jeśli ci powiem, że nie było was na Pustelniku z pięćset lat? Co? Dlaczego milczysz?

— W pewnym sensie może i pięćset. — Nie. W dosłownym znaczeniu. Teraz jestem przy głównym pulpicie i zapewniam cię, że minęło tu kilkaset lat. No, może kilkadziesiąt Zresztą, co to za różnica? A co, jeśli rzeczywiście latałyście kilkaset lat?

— Eri!, zaraz przyjdę do ciebie. — Nie trzeba, Nik. Nie zwariowałem. Na Pustelniku minęło kilkanaście dni. Przecież Eva może to potwierdzić. A tu kilkaset lat. To może być inwazja jakiegoś wirusa.

— A jeżeli to wrócili gospodarze planety? — Tacy okrutni? Wtedy my też nie wyjdziemy z tego cało. Jest tu pewna prawidłowość.

— Jaka? — Chcę pójść sprawdzić. — Dobrze, wyłączam się.

Eri! wszedł do trzeciego pierścienia. Postanowił pójść wzdłuż niego i ustalić, co zdarzyło się w laboratoriach, położonych tak jak i centralny pulpit, nad linią równika.

Pulpit łączności znajdował się w prawym skrzydle. Eri! udał się do lewego, ale nie zdążył przejść nawet kilkadziesiąt kroków, kiedy znów wywołał go Trajkow. Był czymś bardzo zdenerwowany, chociaż starał się mówić spokojnie.

— Eri!, możesz przyjść do mnie? — Co się stało? — Wirt i Thompson nie odpowiadają. Eri! natychmiast zawrócił do prawego skrzydła.

— Coś tam u nich wyje. Najpierw nie było słychać. Potem niewyraźnie. Coś w rodzaju ultradźwięków. A teraz przenikliwe wycie.

— Co się z nimi mogło stać? Wirołoty są przecież całkowicie bezpieczne. Zresztą, wszystko było tu całkiem bezpieczne i co z tego? Obróciło się w proch.

Eri! otworzył drzwi centrali łączności. Trajkow siedział plecami do niego i krzychał w mikrofon: — Wzywam Wirta! Tu Trajkow! Wzywam Wirta! Odbiór.

Zmienił zakres szczękawczy przelącznikiem i powtórzył wszystko od początku.

Eri! ciężko usiadł w fotelu i zakrył twarz dłońmi.

— Nie odpowiadają — rzekł Nikola! odwracając się.

— Nie szkodzi, wywołuj.

Nikola! znów zaczął wywoływać wirołot.

— Słuchaj, jakoś mi to wcześniej nie przyszło do głowy. Trzeba na wszystkich kanałach prowadzić zapis na taśmie. Co prawda nie zdolamy przesłuchać wszystkiego, ale można będzie dać do przeanalizowania komputerowi. Niech opracowuje. Może uda się nam wycisnąć z tego choć bit sensownej informacji.

— Wszystko zapisuję i co jakiś czas przesłuchuję. Nic nie ma... Wzywam Wirta! Tu Trajkow! Odbiór... — Już dwie godziny. — Co powiedziałeś? — Już prawie dwie godziny jesteśmy na Pustelniku.

C.D.N.

Gdzie diabeł nie może

No i doczekaliśmy się jubileuszu, który musi ciężko zabołé każdego, komu choć trochę leży na sercu poziom wydawanej u nas fantastyki. Kawowska seria „Fantastyka — przygoda — rozrywka”, czyli seria „z dżdżownicą” sięgnęła okrągłej liczby dwudziestu pozycji.

Dwudziesta książka różni się nieco od poprzednich. Tym razem jest to dzieło autora znanego już i uznanego, Janusza Zajdla — zbiór opowiadań „Ogon diabła”. Kilkunasta już chyba pozycja w jego bogatej bibliografii i — wstyd... Po doskonałych utworach dla młodzieży, po „Cylindrze Van Troiffa”, po kilku świetnych, a nie opublikowanych jeszcze powieściach — coś takiego. Wytumaczenie może być tylko jedno: Świadomie czy nie, lekkomyślnie lub z premedytacją dobry przeciw pisarz dostosował się do żalosnego poziomu serii KAW-u.

I tak zresztą „Ogon Diabła” jest jedną ze stosunkowo najlepszych pozycji serii. Jakby nie było, trudno pisarzowi zapomnieć nagle o wszystkich swych umiejętnościach, o zbieranych latach doświadczeniach, czy wyrzec się — wrodzonej przypuszczam — lekkości stylu. Czytelnik, który dotąd znajdował w książeczkach „z dżdżownicą” jakieś pseudofilozoficzne wypociny, naiwne i nieudolnie spisane fantazjowanie pozbawionych fantazji beztalesne czy ewidentne grafomanstwa, nad „Ogonem Diabła” nie będzie musiał rwać sobie włosów z głowy. Nie, do techniki pisarskiej, umiejętności budowania akcji i nastroju nie ma się co czeptać. Książka jest po prostu porządnie napisana.

Wystarczy jednak otworzyć ją i zagłębić się w lekturze. Pierwsze opowiadanie zdradza dalszy ciąg już na czwartej stronie; chodzi w nim o to, że przedstawiciele jakiejś tam cywilizacji hodują na specjalnym poligonie model istoty doskonałej, która jeden z ich naukowców stworzył na obraz i podobieństwo swoje. Istocie postawiono z początku tylko jeden zakaz: zbliżania się do końcówki informacyjnej komputera, która przypadkiem znalazła się w obrębie poligonu. Istota oczy-

wiście zakaz ten ziałała, podjudzona przez wroga eksperymentu, który porozumiał się z nią przez mikrofon umieszczony w cienkim kablu... I tak dalej. Przez osiemnaście stron autor zabawia się podkładaniem pod biblie fantastyczno-naukowych treści, by ostatecznie dojść do wniosku, że Chrystus był „jednym z nich”. Tak dużym, a bawi się jak dziecko...

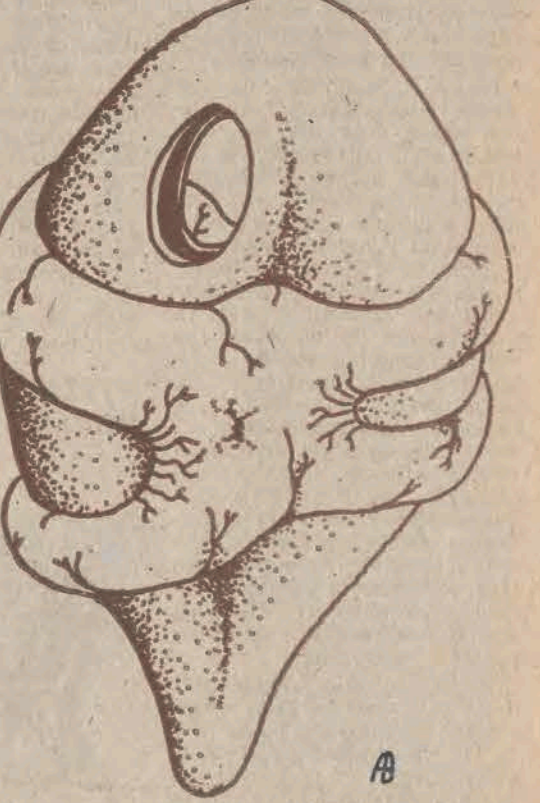
Lektura następnych opowiadań to już tylko jedno rozczarowanie po drugim, każde coraz większe. Stosunkowo najlepiej prezentują się opowiadania znane już z prasy i różnych antologii oraz fragment jednej z nie wydanych powieści. W pozostałych utworach autor to zachwyca się technicystycznymi wizjami nowych wynalazków, od czasu do czasu osnuwając wokół nich jakąś intrygę, to opowiada cieniutkie dowcipy, to znów przekonuje, że w naszą historię ingerowali kiedyś kosmiccy. W sumie to wata, wypychacz, bez głębszej treści bez, nawet, zaznaczonej wyraźnie postaci głównego bohatera, i bez niczego, nad czym można by się chwilę zastanowić. Przeczytać owszem można, bo czyta się to szybko. Tylko, że jeszcze szybciej wszystko się zapomina, może poza nazwiskiem autora, który zniżył loty do poziomu szarej przeciętności.

Aha, jeszcze coś na pewno zostanie w pamięci każdego, kto miał tę książkę w ręku: bohomasz z okładki. Nabazgrołony tam osobnik mógłby sugerować, że książka traktuje o ciężko uszkodzonego paralityku, chorym na wodogłowię i przypadłość Heinego-Mediny, który nie wie gdzie po co okrecił się czymś przypominającym skafander kosmiczny. Koszmar! Czy pan Waldemar Andrzejewski naprawdę MUSI rysować?!

I jeszcze jedna myśl nasuwa mi się a propos smutnego jubileuszu, o którym była mowa na początku. Od dłuższego czasu czytam opowiadania młodych ludzi, którzy dopiero zaczynają pisać i szukają wzorów. Znajdują je w książkach najłatwiej dostępnych, t.j. Nie muszą chyba pisać, jaki jest tego efekt. Jeżeli nawet stary, uznany autor ugiał się pod tym zalewem grafomanji i złego smaku, jak mogą się przed nim nie ugiąć młodzi, którzy szukają wzorców? Puźmy na to, ile papieru zmarnowała już ta niesławna seria (w każdym razie dużo). Nikt nie obliczy, ile szkód wyrządziła ona i wyrządzi naszej fantastyce, ile zmarnowała talentów, ilu ludzi mądrych i znających się na literaturze zniechęciła gruntownie do science-fiction. To będzie można sobie w pełni uświadomić dopiero za kilka lat. Tu już i diabeł nie pomoże. Trzeba chyba cudu. Albo kogoś z odrobiną oleju w głowie.

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Kosmostworki ANDRZEJA BIEDRZYCKIEGO



Głowszczyca różowa — Cephalium rosom.

Boja fascynowała mnie zawsze ilekroć spoglądałem na jej smukłą, obłą sylwetkę, zawieszoną nieruchomo na tle głębokiego seledynu przestrzeni. Z dala wydawała się szara, czarna niemal, lecz gdy zbliżałem się ukradkiem, z nie wyjaśnionym lekkim ścisnącym żołądek łaskotliwą obręczą, na powierzchni ciemnej bryły rozjarzały się delikatne ogniki i pisały jak robaczki świętojańskie, a później cały elipsoidalny kształt rozpałał się w świetnym światłocieniu. Wtedy zawsze cofałem się szybko, a uczucie opuszczającego mnie strachu, który uchodził mi niby zimny płyn wypelniający uprzednio pierś, towarzyszył wzbierający gniew i niechęć do samego siebie.

Często opowiadałem ludziom o boi. Zrazu, na samym początku, było to nieśmiało zwierzenie, było to nieśmiało zwierzenie, wstydliwe szepcanie; potem mówiłem coraz głośniejszym głosem, aż w końcu stałem się natrętem. Niektórzy słuchali mnie z przyklepionym do warg uprzejmym uśmiechem, myśląc zupełnie o czym innym, byli też tacy, którzy ze zniecierpliwieniem wrzucali ramionami. Te drobne różnice w zachowaniu zależały zapewne od nabytej w młodości oglady; wszyscy jednakowo uparcie biegli wyznaczonymi im ścieżkami, zaś żadna z ich tras nawet nie zbliżała się do przestrzeni za boją. Tylko nieliczni spośród tych, którym opowiadałem o strażniku dziwnego obszaru, dali się skłonić do wspólnego rekonesansu; ich uśmiechy i gesty były nawet pełne zrozumienia, gdy wskazywałem na jajoową plamę czerni z roztańczonym rojem świetlików. Lecz żaden z nich nie widział boi, lub może nie chciał jej widzieć — mogłem wskazywać dowolny kierunek w przestrzeni, a oni wciąż byli pełni zrozumienia i aprobaty, po czym wymieniali uścisną dłoń i z ulgą powracali na swoje ścieżki.

Lecz ja potrzebowałem towarzysza. Czulem, że sam nie podołam lekko, nie przełamie bariery strachu, którą wytwarzała we mnie złowroga wiśniowa poświata. Kiedyś ku mojej niezmiernemu radości jeden z uprzejmych słuchaczy zgodził się na wspólną eskapadę.

Ruszyłem przodem, czując się znacznie różnie, czując się różnie i tamsząc w sobie resztki strachu przed pulsującym światłem. Gdy mijaliśmy jajoową, wiśniową kształt, boja nagle zgasła i znikła. Po prostu znikła, a ja dałem nura w tę zagadkową przestrzeń po drugiej stronie, w przestrzeń, która okazała się wewnątrz błękitna jak sen. Otoczyła mnie niebieska mgiełka, w której płynnym ruchem przesuwały się niby w rozbujanym tonie oceanu jakiegoś zrazu nierozpoznawalne kształty.

— Jak tutaj inaczej — rzuciłem przez ramię i odwróciłem się, nie otrzymawszy odpowiedzi. Byłem znowu sam, mój towarzysz znikł gdzieś, zapewne podążał od dawna ścieżką swojej konieczności lub szlakiem głębokiego przekonania o jej istnieniu.

Lecz nie bałem się już. Miejsce lęku zajęła pełna podniecenia ciekawość. Przenikałem błękitną, eteryczną toń, dając zdecydowanie na spotkanie niewyraźnych kształtów unoszących się gdzieś w lśniącej mgie oddalenia.

Ogromne kule, jakby zacumowane w bladej, niebieskiej poświacie, wykonywały delikatny taniec płynnych, powolnych wahań wokół punktów kotwiczenia. Ich powierzchnie, szare lub miedzionosne, wydawały się nieruchome. Dopóki nie wypłynęły na nie pedacymy wirami plataniny fioletowych linii jaskrawe pasy lub nakładające się pierścienie w rozszalanej ferii barw.

Było to tak piękne, że bezwiednie zbliżyłem się do opalizującej ściany, gładkiej jak lustro. Wyciągnąłem dłoń. Reka pokonała ledwie wyczuwalny opór, nie większy niż przy zanurzeniu do wody, i zagłębiła się w nieprzezierną zasłonę. W środku było ciepło. Cofałem się raptownie, a moje ramie, całe i zdrowe, opuściło wnętrze kuli.

Zachęcony powodzeniem spróbowałem zająć do środka. Moja głowa i ramiona gład-

ko przeszły na drugą stronę. Było tam rzeczywiście znacznie cieplej niż w błękitnej przestrzeni zewnętrznej; widziałem wokół białą, rzadniejącą mgłę. Poczułem zawrót głowy — daleko w dole rozplaszczony się pomarszczony powierzchnią bezmiar oceanu. Granatowoczarne rowy głębin biegle rozlanym na nieforemne czolony szeregiem aż po zamglone widnokręgu, a zielone i żółte pierścienie szelfowych płyty opasywały jasną wyspę, leżącą wprost pod mną. Nalot roślinności delikatnie cieniował białe wzgórza, a tuż nad ostrońią, spokojną zatoką drobnymi, lecz foremnymi kamiennymi bryłami zabudowań rozsypany się wzdłuż brzegu miasteczko.

Po powrocie na zewnątrz posuwałem się wzdłuż rozgranej barwnym blaskiem ściany tak długo, że powinienem osiągnąć poziom wewnętrznej morza. Istotnie tak było; gdy zajrzałem przez zasłonę, leniwe fale przetaczały zwały zielonkawej, przejrzystej wody o parę metrów niżej. Zdecydowanym ruchem przesłiznąłem się cały do środka i z pluskiem wskoczyłem do morza. Lustrzana powierzchnia fal zamknęła się nad moją głową, a głębia w dole zdawała się ogniskować wszystkie promienie słoneczne w jednym punkcie zielonej czeluści. Wynurzyłem się i popłynąłem do pobliskiego brzegu, na którym dostrzegłem rybaków układających sieci.

Wyszedłem na kamienną plażę i pozdrowiłem ich przyjaznym skinieniem ręki; odpowiedzieli mi, uchyłając czapkę. Byli to młodzi, zdrowi mężczyźni. Poczułem się nieswojo, albowiem widziałem wokół tylko uśmiechnięte twarze. Jakby wszyscy cieszyli się, że właśnie ja tutaj i teraz zawitałem.

Gdy po kamiennych stopniach wspiąłem się na wysoki brzeg, moje ubranie było już suche. Niemał dotykalna pieśczęta promieni słonecznych i łagodnie ciepło płynące od nagranych głazów stawały się stopniowo uciążliwe, aż zamieniły się w duszny upał. Młody śmiech rybaków z plaży rozbrzmiewał coraz rzadziej, aż ucichł zupełnie; widocznie i oni odczuli żar, lejący się z bezchmurnego nieba.

Chodziłem uliczkami kamiennego miasteczka, szukając skrawka cienia, ale na próżno: wszystko zalane było jasnym i mocnym światłem słonecznym. Nawet drzewa o najgęstszych koronach nie dawały żadnej osłony, a wnętrza domów jasniały równie intensywnym blaskiem, co środek ulicy.

Wszyscy napotkani ludzie byli młodzi i często widziałem uśmiechy na ich twarzach; nie spotkałem nikogo zatroskanego lub płaczącego.

Gdy szedłem stromą uliczką, wypatrzyłem źródła wody pitnej, zatrzymał mnie człowiek nieco starszy od innych. Ten mężczyzna nie uśmiechał się, a w głębi oczu miał smutek.

— Przybyszu — zagadnął — pójdz za mną, coś ci pokażę.

Weszliśmy na mały rynek, okolony rzędem drzew oliwnych umieszczonych w kamiennych donicach. Mój przewodnik wskazał na starą wieżę, na której zegar wybijał właśnie południe.

— Zawsze wskazywał za kwadrans jedenasta.

Wykonałem lekceważący gest, lecz on ciągnął dalej takim samym, bezbarwnym tonem.

— Nigdy nie było tak gorąco jak teraz. Nigdy nie miałem suchych warg.

Mężczyzna podszedł do drzewa oliwkowego, tkwiącego w spekaną, spopielającą ziemię i dotknął wędnąjącą gałęź, strącając kilka zwiniętych liści.

— Dlaczego u was nikt nie płacze? Nie cierpi? — pytałem gwałtownie, uchwytywszy jego ramie. — Czy kiedyś chorowałeś? Czy umarł ci ktoś bliski?

W widocznym wysiłku zmarszczył czoło.

— Umarł?

— Czy czucie smak szczęścia? — rzuciłem pytanie, zdając sobie jednocześnie sprawę z jego bezsensu.

Szybko zbiegłem uliczką w kierunku morza. Na plaży rybak siedzieli na kamieniach jak wielkie, zmęczone kormorany, a pot poziepał im włosy w wilgotne kosmyki. Patrzyli obojętnie, jak dałem nura w

cieple fale. Modliłem się, aby stary zegar zatrzymał swój bieg jak najprędzej.

Znowu przemierzałem wypełnioną wirującym lśnieniem przestrzeń, w której szubowały dziesiątki baniek mydlanych o gigantycznych rozmiarach. Ciekawość pchała mnie coraz dalej i czyniła coraz śmielszym.

Kiedy wniknąłem do jednej z bladoleśnych kul, których wiele kołysało się leniwie w zbitej gromadzie, ujrzałem nieprzeliczone tłum mężczyźni, kobiet i dzieci, pedacymy niby rzeka bez początku i końca. Ów wzbierany potok ludzki o-

dzającego tłum nie zatrzymuje się tutaj dla nabrania sił. Lecz wtedy spostrzegłem kilkoro ludzi opodal świerków. Chociaż sprawiał wrażenie wypoczętych, leżeli wygodnie w wysokiej trawie pełnej kwiatów polnych. Ta grupa najwyraźniej zrezygnowała z dalszej gonitwy.

Gdy postawiłem stopę na polanie, ich czas zaczął biec. Wykazali rosnące zaniepokojenie, spoglądali jedni na drugich, niektórzy wstali i zajęli się zbieraniem owoców lub polowaniem, przy czym każdy chciał uzbierać czy upolować więcej niż pozostali. Rozpoczęło się gorączkowe poszukiwanie łupu; ci, którzy dotarli do krańców wyspy, włączali się w pedacymy ludzką rzekę, nie mogli bowiem ścierpieć, że ktoś biegnie prędzej od nich.

oczach, nosie i ustach miałem pełno włosów, a na szyi czulem wargi i zęby Zapach perfum i potu był tak ostry, że zupełnie dobrze pasował do gwałtowności zajścia — pomyślałem o tym bezwiednie, podczas gdy obca dłoń usiłowała wpechnąć mi do ust jakąś pigułkę. Tego było już za wiele — po chwilowym szoku odzyskałem panowanie nad sobą i kilkoma energicznymi ruchami zdołałem się wyswobodzić.

Na twarzy prawie nagiej kobiety, którą odepchnąłem, malowało się zdziwienie tak wielkie, że graniczące ze strachem. Była to młoda dziewczyna, rosła i bardzo ładna, ubrana jedynie w półprzezroczystą nocną koszulkę; biała karnacja skóry stawała się jeszcze delikatniejsza wobec ciężkich splotów kruczoczarnych włosów, opadających na szyję i wiotkie ramiona. Spomiędzy smukłych palców wypadła pastylka o cielistym zabarwieniu i potoczyła się po chodniku z gładkich kamieni wprost pod nogi kilku mężczyźni i kobiet, przyglądających się ze zdziwieniem całej scenie. Wszyscy nosili, podobnie jak dziewczyna, przezroczyste i lekkie tuniki; można było śmiało powiedzieć, że chodzili nago.

Zmieszany i przestraszony, spróbowałem oddalić się. Nikt mi nie przeszkodził, wdzili tylko za mną zdumionym wzrokiem. Dopiero po dłuższej chwili, gdy straciłem ich z oczu, ochłoniąłem nieco, zebrałem myśli i rozejrzałem się po okolicy.

Wokół piętrzyły się jakieś dziwne budowle, ni to szalasy, ni to gliniane chatki; uliczki, wyłożone białym kamieniem, wygładzonym najpierw przez fale morskie, potem tysiącami stóp, meandrowały wśród nich jak łozyska wyschniętych potoków. W świetle kolorowych lamp spacerował roześmiany tłum młodych mężczyzn i kobiet. Wciąż wszyscy byli młodzi i roześmiani, choć wiedziałem, że swoim przybyciem uruchomiłem niweczający ich kruche szczęście mechanizm, że czas zaczął płynąć i słodkie wino uchochodziło już z pękniętego dzbanca.

Co parę kroków widziałem uprawiające miłość pary. Ani kochankowie nie krepowali się, często rozkładając się pośrodku ulicy, ani też nikt z przechodzących nie dziwił się w najmniejszym stopniu. Spacerujący młodzi ludzie obogać pici, podnieceni wymyślnymi scenami erotycznymi rozgrywanymi się wokół, często zaczepiali pierwszą napotkaną po drodze atrakcyjną osobę odmienną (lub też samej) pici i z miejsca rozpoczynali grę miłosną. W trakcie tej czynności sięgali do ustawionych co parę kroków kolumnienek z zagłębieniami, pełnymi cielistych pigulek; zażycie specyfiku w wyraźny sposób zwiększało ich podniecenie. Zauważyłem, że nikt nigdy nie odmawiał. Czym prędzej dałem nura w boczną uliczkę.

Szedłem jakimś ciemnym, bocznym schodkami, mając nad głową tylko wąski pasek szarostalowego już teraz nieba. Gdy ucichł wreszcie rozpasany gwar ulicy, ujrzałem przed sobą w świetle żółtej latarni dwie postacie. Dałbym głowę, że nikt nie nadchodził, jakby wyrosły nagle z kamiennej płyty. Stary, przygarbiony człowiek trzymał za rękę dziecko o twarzy zastygłej w piękną maskę. Odeszli powoli, a ich kroki stuknęły głuchym echem po kamiennych zaułkach.

Lekko, bez wysiłku przemierzając zwojem srebrzystego lśnienia setki barwnych globów, planet, światów. Wiedziący nieprzezierną ciekawością, oglądałem wiele z nich po drodze; widziałem miasta, góry, ogrody, nieprzebyte lasy i pasma nadmorskich plaż. Wszystko tam było piękne, zarówno śmiałe konstrukcje niebotycznych osiedli przyszłości, jak i tchnące wiekową wilgocią wnętrza gotyckich katedr; rośli mężczyźni i powabne kobiety; zaczerpnięte kwiaty i tresowane zwierzęta. Nie brakło również bytów odrażających, pełnych okrucieństwa, sadyzmu i wyuzdania, choć stanowiły one wyraźną mniejszość. Niektóre światy były proste, nawet prymitywne, jak scena w jakimś podrzędnym teatryku.

zadziwiająco swoją złożonością, oryginalnością i swoistym pięknem, płynącym z harmonii.

Aż kiedyś, w trakcie mojej długiej wędrówki, kiedy już nieco znudzony i zawiedziony zamierzając zaniechać dalszej podróży, ujrzałem przed sobą glob, który wydał mi się najwspanialszy ze wszystkich. Półprzezroczysta powłoka mieniła się ażurowymi, efemerycznymi postaciami, a wewnątrz przemikały rozmazane cienie. Zdawało mi się, że już kiedyś je widziałem, lecz z zawodnej pamięci nie mogłem wydobyc niczego więcej. Zbliżyłem się przeto i rozchyliłem pulsujące zasłony, aby obejrzeć jeszcze jeden spektakl.

Był tam świat podobny do wszystkich poprzednich: taki ładny, cukierkowy, trochę naiwny i niedorobiony, i przesycony pięknym marzeniem. Jednocześnie był jakby inny: głębokie niebo podcieniowane na brzegach seledynem, strzeliste wieże i czerwone dachy z kępami mchu wczesionego między dachówką, ulice i ogrody pełne słońca i świeżego wiatru, ludzie cieszący się życiem i sobą nawzajem — to wszystko już widziałem i dobrze znałem. Tak, to był na pewno mój świat.

Często myślałem o nim w bezsenne noce, kiedy księżyc rozlewał dziwaczne plamy bladej poświaty po podłodze i zdawał się poruszać firanką, lub też po prostu w korowodzie codziennych zdarzeń, próbując poprowadzić jakiś fragment rzeczywistości. Za każdym razem dodawałem inną cegiełkę do rosnącej budowli. Przekonałem się teraz, jak wiele z nich nie pasowało do siebie nawzajem i jak znaczne luki widniały w konstrukcji.

Nie byłem zadowolony ze swego dzieła, postanowiłem przeto je poprawić. Poprawić w taki sposób, aby nawet po uruchomieniu niszczycielskiego zegara mój świat mógł istnieć w szczęściu i spokoju, na przekór kruchym światom innych marzeń.

Wziąłem się do pracy. Samą świadomością mogłem dowolnie kształtować tutejszą rzeczywistość; coż za potęga władzy absolutnej! Jeden lekki dotyk myśli kreował ludzi lub ich unicestwiał, kazał miastom rozkwitać lub obracać się w gruzy, wyciskał łyż lub rozjaśniał twarze uśmiechem. Lecz uśmiech ten nikt, rozwiewał się w następnej sekundzie, likwidowany nieublaganym ruchem wskazówek zegara.

Lecz ja pragnąłem zbudować dobry świat, który zarazem mógłby istnieć w wymiarze czasu. A tyle było do zrobienia! Usiłowałem godzić miłość i poczucie tożsamości, piarność i wolę przetrwania, dobroć i biologiczne zasady rozwoju, mądrość filozofów i twarde drogi życia. Wiele systemów, często przeciwstawnych, poddałem po prostu próbie czasu, albowiem były zbyt złożone, abym śmiał decydować natychmiast. Szedłem wciąż na kompromisy, choć robiłem to z najwyższą niechęcią i pod przymusem konieczności. Szeroko wykorzystywałem wiedzę, nabytą przy poznawaniu innych bytów solitycznych, w czasie wędrówki po dziesiątkach szlaków istnienia; teraz już blisko celu, szlaki te schodziły się, zbiegały w jeden wielki gościniec, którym pragnąłem dojść do doskonałości.

Byłem tak pochłonięty konstruowaniem swojego świata, świata najlepszego z możliwych, że nawet nie spostrzegłem, kiedy mój glob ruszył z miejsca. Niewidzialne cmy puściły i owiana poświatą kula pedziła z rosnącą szybkością, zostawiając w tyle planety utopii, których tęczowe kształty z oddalenia przypominały rój baniek mydlanych, wypuszczonych przez rozbawione dzieci w pogodny błękit nieba.

Minąłem żarzącą się wiśniowym blaskiem boję i wtedy moja bańka mydlana pękła i znikła nagle, lecz świat pozostał taki, jaki był. Niczego nie zauważyłem, tak pochłaniała mnie praca; wciąż miałem mnóstwo planów. Stwierdziłem tylko, że materia stała się dużo bardziej oporna.

ANDRZEJ ZIMNIAK

Szlaki istnienia

urodził się w 1946 r. w Warszawie. W 1969 r. ukończył Politechnikę Warszawską, a w 1976 uzyskał tytuł doktora nauk chemicznych. Pracuje w zawodzie. Swoje zainteresowania zawsze starał się dzielić między nauki ścisłe i humanistyczne. Pierwsze próby pisarskie podjął 14 lat temu. Zadebiutował w 1980 r. w czasopiśmie studenckim „Politechnik” opowiadaniem „Pojedynek”. Od tego czasu publikował w prasie 6 opowiadań. Śwój dorobek, składający się z 30 opowiadań SF zamierza opublikować w formie książkowej. Opowiadanie publikowane poniżej jest jego najnowszym utworem.



D. WĄŻ 82

Rys. Dariusz Wąż

mijał zielone pagórki na swojej drodze, tkwiące w ruchomej gromadzie niby wyspy we wzburzonem nurcie skłotowanej wody. Zszedłem do biegnącej, niby spytać, dokąd zdążają.

Nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, kiedy stanąłem w białym pyłu drogi. Ludzie ci nie rozmawiali między sobą; ich jedynym celem był sam bieg, zaś jedyną przyjemnością — wyprzedzanie innych. Rodzenie, rozwój, umieranie — wszystko to odbywało się w trwającym bez przerwy pedzie. Młodzi posuwali się lekkimi zrywami, ciężko kłusowali dostojnie, rozbujałe matrony, nawet rachityczni staruszkowie kuśtykali zawzięcie, pokryci wieloletnim pyłem drogi. Gdy ktoś zatrzymywał się lub padał, rozsypany był natychmiast w biały kurz.

Potrącony i popychany przez biegnących, postanowiłem od początku na jednej z zielonych wysp. Spokojny gaj, pełen zapachu żywicy i ciepłych podmuchów wiatru, dawał prawdziwe wytchnienie; zastanawiałem się, dlaczego nikt z pe-

Z tymi, którzy pozostali w trawie, działały się dziwne rzeczy: kurczyli się, schli w oczach, mięśnie im wiotczały, a członki ulegały błyskawicznemu zanikowi lub zwyrodnieniu. Po chwili tylko rozłożąca się skóra niby szary pergamin pokrywała nagie piszczele, czaszka miękka i zmniejszała się jak przekłuty balon, i wreszcie zostawały tylko białe włosy, rozłożone po lesie przez wiatr nici babiego lata.

Straciłem ochotę na odwiedzanie innych wysp i opuściłem tę smutną krainę.

Świat, w który wszedłem, otoczył mnie urygającym od gorąca powietrzem, wonnym dymem i dziwnie drażniącą, choć cichą muzyką; zmierzch zachłapał połowę nieba różem, karminem i szkarlatem. Nie zdążyłem jeszcze rozejrzeć się po okolicy, kiedy zamknęły się wokół mnie białe ramiona, w

kolumna ajencyjna

KOLUMNĄ DZIEWIĄTĄ
(wciąż do przodu!)

KAŻDY, KTO DRUKOWANE TU TEKSTY TRAKTUJE
SERIO — CZYNI TO NA WŁASNĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ!

Sergiusz Kukuła

ZAWODOWCY

Mżyło fatalnie. Klasyczny, równo śpiący „kapuśniaczek” pokrywał oczekujących na postoju mokrą, burą mgłą. Przytupywali w deszczu, rzucając od czasu do czasu błagalne spojrzenia w różnych kierunkach. Taksówki nie było już od dobrego kwadransa.

Niemal w tej samej chwili, gdy zgrzytając biegami, przed tabliczką z napisem „Taxi” hamowała dychawiczna „Warszawa”, z pobliskiego parku wytoczył się młody mężczyzna w niemodnym, dwurzędowym szynelu i czapce z daszkiem Lekko holendrując dotarł do drzwi samochodu, usiłując zająć miejsce wewnątrz przed dystyngowanym, starszym panem, który z odrazą skrzywił się na odór alkoholu. Krótką utarczkę słowną w stylu: „Ja byłem przed panem”, „Pan tu nie stał”, przerwał chudy blondyn, który wyskoczywszy z przedostatniego bodaj miejsca w kolejkę ostro natarł na podchmielonego faceta.

— Gdzie lachu jeden, jazda na koniec kolejki!

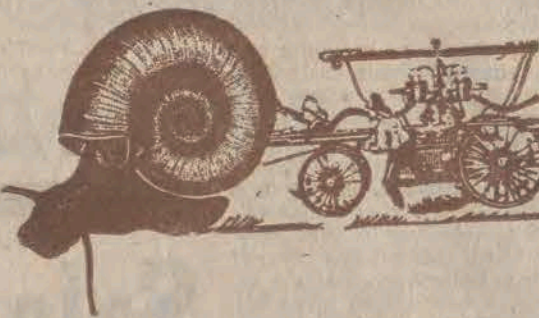
— Nie pitul, szczupły, ja tu stałem — odgrzył się grzecznie zagadnięty.

— Spadał pijany ryju, pókim dobry; poszedł wion od drzwi — zagroził drogę do „taryfy” blondyn.

— O zesz ty rudy Mojżesz — zawył zalutujący żytem i jak ryś skoczył do gardia przeciwnikowi.

Na oczach zdezorientowanej i zahipnotyzowanej kolejki rozgrywać się teraz zaczęły sceny rodem z kiepskiego filmu. Pijacek zręcznym ruchem złapał za krawat interlokutora, odciągnął przyrząd na odległość metra, po czym raptownie puścił, aż tamtemu szczerknie uderzona gumka grdyka. Nim zdążył zarechotać ze śmiechu blondyn postąpił pół kroku i jednym szarpnięciem oderwał mu daszek od czapki. „Mopol” nie pozostał mu dłużny; pełną garścią chwycił przeciwnika za kłapę kusej jesionki, która z suchym trząskiem wyrwana została w

sekundę wraz ze sterzącym włosiem. Nie bacząc na straty przedstawiciel kolejki z głośnym „Ajaaaa...” godnym początku karateki, zgarnął oburącz rękaw szynela rywala, w mgnieniu oka zamieniając go w triumfalnie powiewający sztandar. Nim jednak uczynił to samo z drugim rękawem, niższy o pół głowy właściciel awangardowej kamizeli, biyskawicznie znurkował mu pod pachą i dopadł od tyłu jesionki blondyna. Ta po chwili, przy wtórze pękających szwów, rozdarta została od zgrabnego rozciącia na dole aż do kolaniera.



— O skubany — zawyrokował na poły z uznaniem i nienawiścią posiadacz istic husarskich skrzydeł — tego nie daruję. Złapał przeciwnika za resztki paletka, wtoczył na tylne siedzenie „Warszawy” i zatraskując za sobą drzwi ryknął: — Już ja cię załatwię... I równie głośno do kierowcy: — Szybko, na komendę!

Stojącym gęsiego kolejkowiczom powoli wracała równowaga. Parując w śpiącym miarowo deszczu utyskiwali zbiorowo na dzisiejsze czasy, bezczelność podchmielonego młodzieńca, ceny odzieży i usług krawieckich.

Kierowca taksówki, po przejechaniu kilkuset metrów usłyszał zaś z tyłu całkiem trzeźwy szept jednego z pasażerów: — No dobra szefie, to była taka scenka do śmiechu, a teraz prosimy na Sienkiewicza 21, bo się spóźnimy na brydżyka. — Janusz, ale zanim „rozrzućmy”, muszę te rękawy poprzyszywać — dodał ze śmiechem drugi. — Bo nas jutro rekwizytorka w teatrze prześwieci — rzucił w stronę lusterka, w którym widzieli wciąż przerażone oczy taksówkarza.

FRASZKI Z RÓŻNYCH SZUFLAD

Miło nam oczywiście szalenie, gdy do „Odgłosów” zgłaszają się zaprzyjaźnieni autorzy z Łodzi, równie przyjemnie jest jednak otrzymywać listy, które niejako poświadczają, iż nasz tygodnik — a wraz z nim Kolumna Ajencyjna — czytane są w całej Polsce.

Na dowód dwie fraszki:

Zdzisław Wojnowski (Opole)

O PEWNYM EKONOMIŚCIE

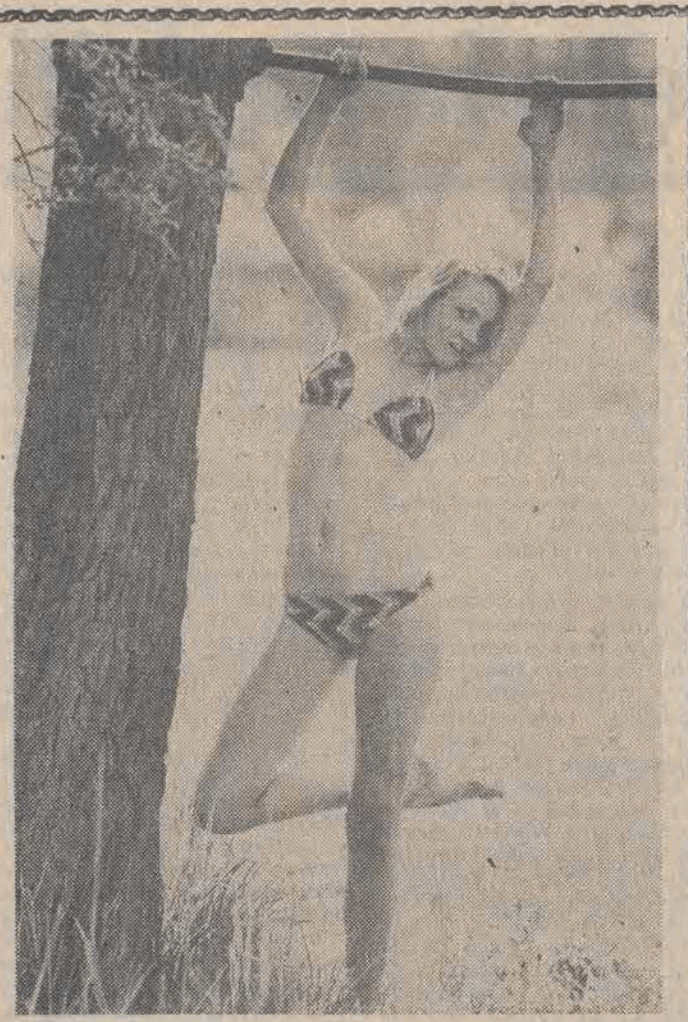
Świetną diagnozę podać potrafi, Gorzej jest jednak w kwestii terapii...



Ryszard Prymus (Warszawa)

VA BANQUE!

W reglamentacji
Zadumy warte
Pytanie: Stawiać
Na całą kartkę?



Moda 1983

Z myślą o paniach (a prawdę powiedziawszy, o nas, panach, również) przypominamy z naciskiem, iż w roku 1983 będzie obowiązywać zgrabna, smukła sylwetka. Wbrew pozorom nie jest to takie trudne do osiągnięcia: po prostu jemy umiarkowanie i gimnastykujemy się przy pierwszej lepszej okazji. Na przykład w kolejkę: skłon, przysiad, skłon i już posunęliśmy się jedno miejsce do przodu. Skłon, przysiad, skłon — i znów jesteśmy bliżej lady. Taniec, zdrowo, przyjemnie. Przypominamy też, że od wiosny do późnej jesieni prawdziwie elegancka dama chadza wyłącznie boso. I to nawet do Teatru Wielkiego!

Włodzimierz Krzemliński

BALLADA NIE TYLKO O REKAWICZKACH

Aż strach mnie bierze, jak sobie pomyślę,
co trzeba zmienić u naszym tym... przemysle,
żeby korzyści mieli z niego wiele obywatela.

Wzemy na przykład taki przesąd stary,
że rekawiczki trzeba łączyć w pary,
a przecież ludzie mają coraz częściej
dwie lewe ręce...

Dzisiaj w rekawiczkach — gdzieś tu, w głębi dłoni —
trzeba by wszywać mały mikrofonik,
byś w każdej chwili mógł głosikiem cienkim
gadać do ręki...

W garbarstwie — owszem, też niech rośnie krzywa,
lecz każda skórka musi być ciągliwa,
bo kto by nie był: dziewczyna czy drągal —
lubi naciągać...

Hej, a guziki? Gdzie guzików góry?
Wszak kogo nie stać na odzież ze skóry,
niechaj na chociaż pociechę niewielką:
guzik z петельką...

Niejedna branża przestawić się musi —
ten coś wymyśli, ów konceptem ruszy
i będzie mieli w handlu, proszę gości,
same nowości!

Przemysł fajkowy na przykład, kochani,
zasypie rynek słiznymi fajkami
i zaraz wszystko co nam humor psuje,
się odfajkuje...

My zaś, kumotrze, przewiemy pogawłki,
wytniem wierzbinę, skróćmy fajarki,
do ust podniesiem, dmuchniemy nieśmiało —
i będzie gratul...

• Lektury przy jedzeniu

Ponieważ najprawdopodobniej już wkrótce zawiesimy tę rubrykę — a czas jakiś, wprowadzając w zamian inne, równie atrakcyjne na pozęgnięcie kilka interesujących haseł z książki Marii Lemnis i Henryka Vitry „Iskier przewodnik sztuki kulinarnej” (Wyd. „Iskry” 1976).

ANGOSTURA

Wyciąg z kory drzewa angostury (rosnącego m.in. w Wenezueli) odznaczający się pięknym aromatem i szlachetną goryczą oraz ciemnobrązową barwą.

Należy do najwyższej cenionych goryczek, używanych do przyprawiania likierów, wódek, cocktaili. W bardzo małych ilościach stanowi wykwintną przyprawę do niektórych potraw mięsnych (np. pastetów), zup i sosów.

BAMBUSOWE PEDY

Młode, „wybijające” pędy bambusa są delikatną jarzyną, przypominającą smakiem szparagi. Mają szerokie zastosowanie m.in. w kuchni chińskiej. W Europie sprzedawane są jako konserwy.

Zamiast pedów bambusowych można użyć z równym powodzeniem młodziutkich pedów chmielu,

które jako „szparagopodobna” jarzyna zaczynają robić karierę w kuchni europejskiej.

WELSH RAREBITS

Są to słynne (i rzeczywiście smaczne) grzanki z serem, lekko zapiekane w piekarniku i podawane na gorąco. Znakomicie smakują do chłodnego piwa. Welsh rarebits są w Anglii bardzo popularne i figurują na kartach wszystkich niemal restauracji i barów. Przepis: 5 dkg masła, 15 dkg tartego żółtego sera (Chester), 2-3 łyżki jasnego piwa, łyżeczkę ostrej musztardy, szczyptę papryki, pieprzu oraz soli — wszystko to razem (mieszając) podgrzewać w kamionkowym rondelku na małym ogniu do momentu utworzenia się gęstego kremu. Kremem tym dość grubo posmarować sześć lekko przypieczonych kromeczek bułki i krótko zapiec w piekarniku.

Henryk Jagodziński

PRZEBŁYSKI

Szkoda, że biegacze nie mają na mecie niczego do załatwienia.



Cóż z utrwalcza, gdy wywoływacza nie ma.



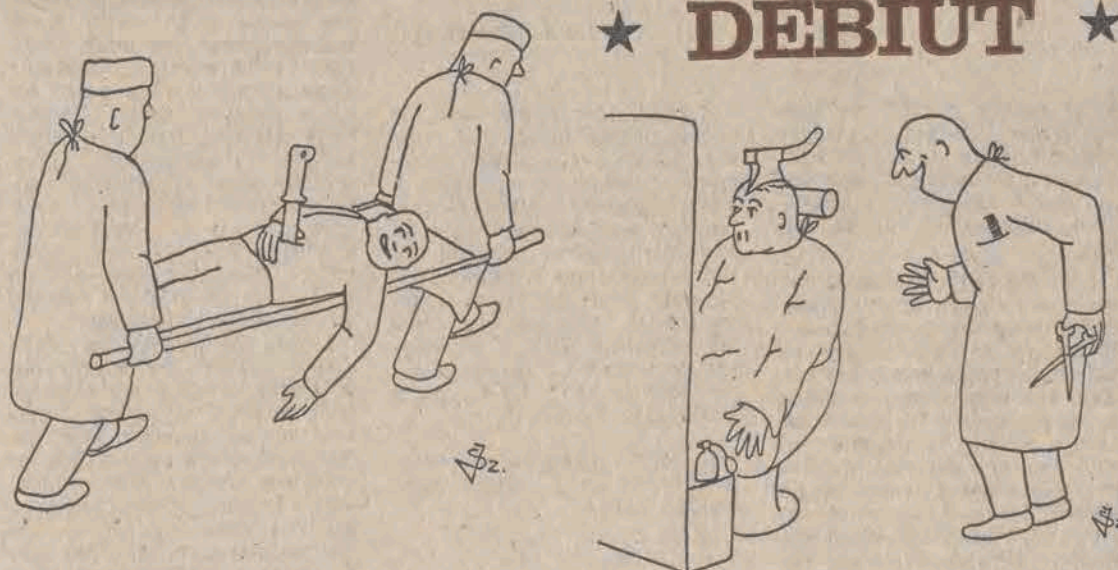
Ludzie nie wiedzą już, co robić z pieniędzmi: komorne czy rata?



Trudno wyżyć na bezludnej wyspie — wszystkie takie zatoczony...



Nowa niespodzianka: nie wiadomo czego się spodziewać.



— Ale co mu powiedziałem, to mu powiedziałem!

— No, przecież miało być z przedziałkiem...

W CZARNYM KOLORZE

Czekaliśmy — to prawda — długo i cierpliwie, doczekaliśmy się jednak i oto przedstawiamy dziś Czytelnikom najprawdopodobniejszego debiutanta: JAROSŁAWA SZYMANSKIEGO. Ten młody człowiek reprezentuje

tuje tak zwany humor czarny, chwilami lekko makabryczny, zarazem też poniekąd ostry, jako że noże, szable, toporki i temu podobne narzędzia pojawiają się w jego rysunkach szczególnie często...

No i bardzo dobrze, wreszcie jakiś rozmaitość, prawdę mówiąc było trochę nudne wciąż i wciąż śmiać się z teściowych kelnerów i rozbitków na bezludnej wyspie.

AJENT



Z redakcyjnej kuchni

Mimo usilnych nagabywań nie możemy jakoś zdecydować się na opublikowanie zdjęcia przedstawiającego zespół Kolumny Ajencyjnej. Byłoby to nieskromne i przedwczesne — oczekajmy przedtem jakiegoś jubileuszu jeżeli nie setnego, to przynajmniej dwudziestego piątego wydania.

Ponieważ jednak czytelnicy zdają się być strasznie ciekawi redakcyjnej kuchni prezentujemy zespół redagujący sąsiadu. Jacek z naszą kolumną „W kręgu fantastyki”. Nie udało się nam ustalić, kto z tej trójki jest najważniejszy chodzą jednak suchy, że ekipa zostanie wkrótce wzmocniona o SUPER-EKSPERTA. Fotkę SUPER EKSPERTA również postaramy się zdobyć, choć jest to podobno persona wręcz przerażająca...

